№ 7. Warszawa, dnia 12 Lutego (31 Stycznia) 1887 r. Rok VII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY" (wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Złota Nr. 23.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

LEON XIII I KATOLICY.

Okazuje się, że w Watykanie wszystko jest możliwem. Pomimo napomknień ks. Bismarka o przeciągnięciu papieża na swoją stronę, chociaż nie hołdownicy godności, i czciciele osoby Leona XIII, nie sądziliśmy jednak, ażeby on tak dalece zapomniał o swej owczarni w Niemczech i jej przewodnikach, ażeby tak otwarcie sprzymierzył się z wilkiem. Tymczasem ku wielkiemu zdumieniu wszech żywiołów, nastąpiło to, czemu nikt wierzyć nie chciał: papież poparł kanclerza przeciw centrum.

Narysujmy tło dla tego obrazu, ażeby on się odbił wyraziście. Czytelnicy nasi znają najliczniejsze i najuczciwsze w sejmie niemieckim stronnictwo, zwane centrum. Powstało ono z „kulturkampfu," z walki przeciwko kościołowi katolickiemu, podjętej przez ks. Bismarka. Grupa ta, w której skupiły się najrozmaitsze pierwiastki, przeważnie zaś oporne gwałtownej centralizacyi, łamiącej odrębne indywidualizmy dawnej Rzeszy, rozwinęła chorągiew wyznaniową i poddała się w zupełności pod komendę papieską. Ogarniając wzrokiem kilkunastoletnią jej walkę, trzeba podziwiać zarówno karność tego zastępu i talenty strategiczne jego przywódców, jak niewzruszone przywiązanie do Stolicy apostolskiej. Ta podległość władzy zewnętrznej dostarczała kanclerzowi treści niejednokrotnie do szyderstw i oskażeń. Chłostał on ironią i tego „pana," który „siedząc *ultra montes*," wtrąca się w wewnętrzne sprawy Niemiec, i tę jego rzeszę „niepatryotyczną," która słucha rozkazów władcy obcego. Gdy Kulmann, katolik, strzelił w Kissingen do Bismarka, całe centrum obwiniono o współudział w tym zamachu. Nie ulękło się ono wszakże żadnej groźby, żadnego prześladowania, śmiało i niezmordowanie odpierało pociski, nie schodząc z pola zapasów o prawa Kościoła. Po długiem doświadczeniu potężny wielkorządca spostrzegł, że tej falangi nie rozbije i nie pokona, zaczął więc „po nad jej głowami" prowadzić układy z wodzem — papieżem. Leon XIII z początku trzymał się w postawie swego poprzednika, przyjmował drobne zaliczki ustępstw, ale z całego długu nie kwitował. Powoli wszakże omotały go mistrzowsko dziergane sieci, olśniła przyjaźń olbrzyma, a gdy ten jeszcze obrał go sędzią w sporze politycznym, papież odpłacił zaszczyt orderem i poświęceniem arcybiskupa polskiego na ołtarzu germanizacyi. Ale zdawało się, że ze stronnictwa centrum, któremu właściwie winien cały swój wpływ obecny w Niemczech, ofiary nie zrobi. Gdy ono obaliło w sejmie projekt pomnożenia wojska na lat siedem, wieści szeptały, że Bismark tuzem watykańskim pobije młódki i walety katolickie parlamentu. Uznano to wszakże za czczą przechwałkę, a prasa ultramontańska dałaby się porąbać za prawdziwość swych zaprzeczeń. Tymczasem w chwili, kiedy centrum, udaremniwszy zamach kanclerza na konstytucyę (dającą parlamentowi prawo corocznego zatwierdzania budżetu), gotuje się do walki wyborczej w najcięższych warunkach, uderza w nie z Watykanu grom— list kardynała Jacobiniego, zalecający stronnictwu katolickiemu uległość względem rządu. Jest to pierwszy wypadek opuszczenia tej dzielnej i bohaterskiej falangi przez wodza, który kazał jej zdać się na łaskę i niełaskę przeciwnika — oddać mu twierdzę. Usprawiedliwienie kapitulacyi zawiera w sobie moralną jej ocenę. „Jeżeli ojciec św. — pisze jego sekretarz— uczuł się zniewolonym wyrazić centrum swoje życzenia odnośnie do siedmiolecia (projektu o podwyżce stopy pokojowej wojska), należy to przypisać tej okoliczności, że owa sprawa pozostaje w związku (!) ze sprawami moralnego i religijnego znaczenia" — mianowicie, że za cenę głosów katolickich w tym przedmiocie sprzedanoby nieco ustaw majowych. „Nakoniec — czytamy dalej — Stolica apostolska (udzielając takie rady) chciała pozyskać nową sposobność *przypodobania się* cesarzowi niemieckiemu i ks. Bismarkowi." Szczerzej tłomaczyć się trudno. „Dla przypodobania się" kanclerzowi — bo o niego to głównie chodzi — zwraca się przeciwko swej gwardyi, która mężnie przez lat kilkanaście za niego walczyła, zwraca się przeciwko obrońcom praw konstytucyjnych swego narodu i zwraca się w chwili, kiedy losy tego stronnictwa mają być rozstrzygnięte w urnach wyborczych. Nawet nasze pisma, tak dalekie od wszelkiej krytyki papizmu, kątem ust wybąkują zdumienie. „Cokolwiek być może — mówi *Gazeta warszawska*—dzis już żałować potrzeba tej ofiary z zasad, na jaką się tu odważono." Również *Gazeta polska*, która po nominacyi Dindera „wątpliwości" swoich „nie podnosiła nigdy do wyżyn protestu lub nieposłuszeństwa," „owszem, wierzyła szczerze w dobre intencye Kuryi rzymskiej," dziś „pozwala sobie uczynić kilka uwag" i sądzi, że większy pożytek od teoryi „przypodobania się" zapewniłaby kościołowi ta teorya, która „po nad przypodobanie się kaprysom ministrów kładzie ścisłe wykonanie obowiązków obywatelskich i piętnuje moralnie wszelkie paktyzowanie z sumieniem i istotnem przekonaniem w imię chwilowej korzyści."

Wszędzie więc wrażenie nagłej, zimnej kąpieli, którą „owieczkom" sprawiono z Watykanu.

Ale nie jest to widok wcale zabawny, jeśli zważymy, że ów papież, gaszący w sobie iskry natchnień idealnych, przechodzący ze stanowiska religijnego i moralnego na czysto polityczne, poświęcający interesy narodów interesom swej władzy i przyjaźni

z potężnymi sojusznikami, że ten papież był główną oporą dla polaków pruskich. Wielokrotnie wykazywaliśmy kruchość tej opory, zakrzykiwani lub zamrukiwani przez większość prasy polskiej, która nie chciała „nigdy wątpliwości podnosić do wyżyn protestu.“ I za kimże fakty stanęły? Leon XIII usuwa ze stolicy arcybiskupiej Ledóchowskiego i osadza niemca, Leon XIII zaszczyca orderem tępiciela i prześladowcę swych sług najwierniejszych, Leon XIII wyrywa z pod nóg grunt stronnictwu katolickiemu sejmu niemieckiego, z którem Koło polskie pozostawało w najściślejszym związku, Leon XIII głosi potrzebę i zasadę „robienia przyjemności“ kanclerzowi w chwili, kiedy ten przedstawia do uprawnienia nowy sposób wyparcia zgnębionej ludności (przez pomnożenie władz powiatowych), ludności, która w „ojcu św.“ widziała ciągle swego ojca. Jakichże potrzeba jeszcze dowodów, ażeby rozproszyć resztki złudzeń, ażeby „wznieść się do wyżyn protestu.“

Nie dość tego. Sklerykalizowane Poznańskie, postradawszy jedyną busolę, którą się kierowało, traci coraz widoczniej równowagę moralną, nie znajduje w sobie po za katolicyzmem dość mocnych zasad i bezprzytomne rzuca się w przepaść. Sprzedaż ziemi niemcom nie jest w tym względzie objawem jedynym. Obok przeniewierstwa występuje obojętność i karygodne sobkowstwo. Korespondent *Czasu* — a więc dziennika, który raczej czarne przemalowywa na białe, niż odwrotnie — pisze, że na walnem zebraniu wyborczem powiatu ostrzeszowskiego, w którym ludność polska dwa razy przynajmniej jest liczniejszą od niemieckiej, stawiło się „29 obywateli.“ W Chodzieżu przybyło 2 wyborców z powiatu. Czemu stronią od tych zebrań? Bo są „jałowe,“ bo „ograniczają się na postawieniu kandydatów,“ bo posłowie polscy nie chcą składać sprawozdań przed wyborcami, ani przedstawiać im swoich programów. „Motywują oni — objaśnia korespondent — te dziwaczne zapatrywania tem, że *i tak już niedobrze, iż panowie zależni są od głosów ludu*, pocóż więc mu robić jeszcze *inne awanse i drażnić* (!) *w nim samowiedzę*.“ Trzeba czytać i odczytywać te nieprawdopodobieństwa prawdziwe, ażeby uwierzyć, że one nie są zmyśleniem języków potwornych. Virchow, Richter, Munkel, Windthorst, Schorlemer-Alst, wielcy uczeni i wielcy panowie niemieccy nie wstydzą się ciągle przemawiać do swych wyborców najniższej warstwy, gdy lepszego miejsca brak, nawet w szynkach i piwiarniach; pan polski nie chce swemu ludowi „robić awansów“ i uważa, że „już i tak niedobrze.“ I ci grandowie w łachmanach bronią konstytucyi, narodowości! Zaiste, niech nie „drażnią świadomości“ chłopskiej, bo ona może ich pozbawić „awansów.“

Oto jest skutek obywatelski, społeczny i narodowy polityki opartej na kosmopolitycznym i wielkopańskim papizmie. Gdyby to doświadczenie nie kosztowało tak drogo, bylibyśmy mu bardzo radzi, jako nauce praktycznej i przekonywającej. Ale i tak— czyż ma ono przepaść dla nas daremnie? Dużo odwagi i krętactwa musiałby posiadać ten, ktoby chciał Leona XIII utrzymać na stanowisku naszego patrona. Niedługo śmiać się z tego będą dewotki.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Niewczesna interwencya papieża w sprawy parlamentarne niemieckie już zaczyna wydawać owoce. Biskup Limburski zakazał duchowieństwu w swojej dyecezyi agitować przeciwko siedmioleciu wojskowemu. Jakkolwiek zebranie katolików w Bonn, idąc za natchnieniem Windthorsta, postanowiło głosować za dotychczasowymi posłami ze stronnictwa centrum, jednakże ci, którzy katolicyzm za jedno ze swoich haseł parlamentarnych wywieszają, bądź co bądź słabszymi się uczują.

Tydzień ubiegły dwoma charakteryzuje się faktami. Uzbrojenia prowadzą się z energią niepowściągnioną, a jednocześnie mnożą się zapewnienia pokojowe. Izba francuska uchwaliła 86 milionów fr. na wydatki nadzwyczajne dla ministeryum wojny a 30 milionów dla ministeryum marynarki. Gen. Brialmont, minister wojny w Belgii, wniósł projekt wybudowania szeregu fortów między Leodyum a Namur, które mają być zaopatrzone w działa z fabryki Kruppa. Na roboty te będzie potrzebny kredyt w wysokości 50 do 60 milionów fr. W Hiszpanii zgromadzenie Kortezów uchwaliło 250 milionów realów na potrzeby marynarki wobec uzbrojeń powszechnych. Sejm rumuński jednomyślnie prawie zatwierdził 5-milionowy kredyt na śpieszne dokończenie fortyfikacyj. W Danii ministeryum opracowało nowy plan pośpiesznego uruchomienia armii. Za przykładem Niemiec Austrya i Rosya ogłosiły zakaz wywozu koni z państw swoich. Francya zaś, według doniesień gazet niemieckich, zaopatruje się w konie i muły z Hiszpanii. A jednocześnie minister Ziemiałkowski, zastępując chorego prezesa gabinetu, oznajmił w wiedeńskiej Radzie państwa, że stosunki Austryi ze wszystkiemi mocarstwami są zadawalające, że jakkolwiek położenie Europy jest posępne, to jednak nie można tracić nadziei w skuteczność usiłowań pokojowych, i uzbrojenia są tylko środkiem ostrożności. Zbliżonej natury wyjaśnienia złożył Tisza w sejmie peszteńskim. Herbette, poseł francuski w Berlinie i hr. Herbert Bismark nawzajem się osypują zapewnieniami o pokojowych dążnościach swych rządów. Niemniej pokojowe telegramy nadejść miały od Laboulaye'a, posła francuskiego w Petersburgu, jakkolwiek autentyczność doniesień o tych telegramach poddawana jest wątpliwości. Uspakajająco odezwać się miał jakoby i pruski następca tronu.

Sprawa rozdrobienia powiatów w Poznańskiem i pomnożenia ich liczby nie schodzi z porządku dziennego. Powiększy to wydatek roczny o jakieś 300,000 marek, ale zadowoli w części namiętność prześladowczą.

Zgromadzenie przedwyborcze socyalistów w Szczecinie zostało rozpędzone przez policyę. Pomiędzy socyalistami a policyą wynikła walka, w której zraniono około 30 ludzi.

Klęska włochów pod Massawą pociągnęła smutne i niespodziewane dla pobitych następstwa. Minister spraw zagranicznych,

---

3)

POEZYA.

GAWĘDA WESOŁA

w dni słotne do czytania nader pożyteczna.

VI.

Gród stołeczny w słodkiej drzemce,
Śpią ulice i piwiarnie,
Tłusty niemiec śpi przy niemce.
W puch zapadłszy swej pierzyny,
Czuje rozkosz, dobrze ma się!
Zjadł wieczorem wieprzowiny...
Śni o — piwie i kiełbasie.
Nad nim w sfery eteryczne
Wznosi dumnie szczyt złotawy,
Wielkie dziwo estetyczne,
Z dział zdobytych anioł sławy.
Złote skrzydła rozpościera,
Złoty wieniec trzyma w łapie,
Wieńcząc nim kulturtregera
Co tak w betach mocno chrapie...
Spał więc ów gród— miasto boże,
Pogrążony w nocnej ciszy,
Tylko nie spał o tej porze
Biesio w gronie towarzyszy
Na przedmieściu, w tej dzielnicy,
Gdzie się brudny strumień wlecze,
Gdzie czerń miejska, rzemieślnicy
Zaluduiają to porzecze,
W oficynce ciemnej, małej,
Wśród motłochu i hołoty
Razem z Etyką mieszkały
Córki jej — Niemieckie Cnoty,
Miały one w swoim czasie
Lepszą dolę, powodzenie:
Mieszkały przy Friedrichstras'ie
Lub na Unterdenlinden'ie
W pysznych gmachach. Lecz powoli,
Pogarszały się ich losy,
Cnoty osiadły w złej doli,
Na przedmieściu, gdzie tłum bosy
Szuka sobie przytuliska
Za najtańszą, lichą płacę,
I z nor swoich ciągle ciska
Złorzeczenia na pałace.
Wśród pospólstwa zacne grono
Dobrą się cieszyło sławą,
Zachwycało wszystkich ono
Krasą wdziękiem i postawą.
Na przedmieściu tem o świcie
Coś się stało niezwykłego:
Wrzawa, krzyki... ktoś policyę
Wzywa — fale ludu biegą,
Tłum przy domku Cnót się tłoczy
Masą płynie tam skupioną,
Gniewem błyszczą wszystkie oczy,
Oburzeniem twarze płoną,
Słychać w domku płacze, jęki,
Usta ustom wieść podają,
Że tu uczciwe panienki
Pogwałcone rozpaczają.
A w tem Etyka przybywa
Z apostolskiej swej wycieczki,
Widzi matka nieszczęśliwa
W jakim stanie jej córeczki.
Słyszy ich rozpaczne krzyki,
Sercem bólu znieść nie zdoła...
Wianek swój — nieśmiertelniki,
Z pobladłego zrywa czoła,
Rzuca w tłum z wyrazem skargi
Na doznaną niegodziwość
I odchodzi, lecz jej wargi
Szepcą: „miłość... sprawiedliwość...“
Wkrótce też na miejsce zbrodni
Przybyła komisya cała
I dowiedział się tłum od niej,
Co za zgraja gwałt spełniała.
Ale Biesio, przeczuwając,
Że z nim za to źle być może,
Dał drapaka i jak zając
Chyżo zemknął na Pomorze.

*
* *

W porę przybył. Starowina
Baron bardzo był zgrzybiały:
Z warg obwisłych ciekła ślina,
Z ócz przygasłych łzy się lały.
Zdziecinniały, napół głuchy
Bawił się, stawiając w szyki
I wprawiając w różne ruchy
Ołowiane żołnierzyki.
Baronowa, zgięta, drżąca
I z umbrelką nad oczyma,

hr. Robillant, rozdrażniony napaściami opozycyi, podał się do dymisyi. Jaki będzie dalszy przebieg tego przesilenia ministeryalnego, do tej chwili jeszcze nie wiadomo.

Sprawy bułgarskie chwilowo zeszły z widowni. Co się dzieje w Konstantynopolu między delegacyą bułgarską a ministrami padyszacha, depesze nie donoszą. Podług telegramów, niebardzo na wiarę zasługujących, bułgarzy usiłują wzniecić powstanie w Macedonii, a nawet major Panica miał wkroczyć do tej krainy na czele ochotników. Również mało zaufania budzą wieści o księciu Battenberskim. Miał on ofiarować włochom swą szpadę w wojnie przeciw abisyńczykom.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Z RUSI GALICYJSKIEJ.

50-lecie ruskiej literatury.

W tym roku przypada 50-lecie ruskiej literatury w Galicyi, którą rozpoczęło pismo zbiorowe p. t. *Rusałka Dnistrowaja*, wydane w r. 1837 przez „ruską trójcę“: Marcyana Szaszkiewicza, Jakóba Hołowackiego i Jana Wagilewicza.

Dla uczczenia tej pamiątki, a równocześnie dla mocniejszego złączenia rusinów galicyjskich w kierunku literackim, poczętym przez *Rusałkę*, p. A. Barwiński, profesor seminaryum nauczycielskiego w Tarnopolu, rzucił w *Dile* myśl urządzenia „drugiego zjazdu ruskich uczonych,“ na podobieństwo pierwszego, który się odbył 1848 r. W zebraniu tem wzięliby udział nietylko rusini, ale także słowianie wogóle. Ten ostatni pomysł wydaje się nam niepraktycznym z tego powodu, że jest to sprawa wyłącznie ruska, która wszystkich słowian interesować nie może, tembardziej, że p. Barwiński dla tego zgromadzenia radzi wskrzesić program z 1848 r. Wówczas głównie chodziło o sprawy językowe, podczas gdy obecnie spór między rusinami toczy się już o zasady i kierunki społeczne. Wówczas inteligencya ruska miała stanowczo orzec, czy naród ruski jest samodzielnym i czy ma posiadać oddzielną literaturę w języku swego ludu — pytanie, jak widzimy, bardzo ważne, które jednak obecnie w Galicyi już zostało rozstrzygnięte twierdząco w sposób praktyczny. Teoretyczne wznowienie tej kwestyi natrafiłoby na pewne trudności i nie obeszłoby się bez scen burzliwych.

Wogóle wspomniana rocznica budzi w sercu każdego rusina cały szereg różnorodnych uczuć. Do nieprzyjemnych należy przedewszystkiem los samej *Rusałki* i jej autorów. Niepuszczona we Lwowie, wyszła w Peszcie, gdzie wówczas cenzura była liberalniejszą. Jednakże dla uzyskania wolnego obiegu w Galicyi, wydrukowaną już trzeba było oddać do przejrzenia cenzurze lwowskiej, która ją surowo wzbroniła, jakkolwiek *Rusałka* zawierała tylko pieśni ludowe, oraz poezye (oryginalne i tłomaczone z serbskiego i czeskiego), opowiadania i rozprawy etnograficzne w języku ruskiego chłopa galicyjskiego. Ta ostatnia okoliczność była też głównym powodem, dla czego cenzor (ks. ruski — Ben. Lewicki) napisał na egzemplarzu najostrzejszy wyrok, jaki wówczas wogóle istniał — *Damnatur*. Inteligencya ruska, mówiąca wówczas po polsku, po niemiecku, lub po cerkiewnemu, potępiła także nowy ruch. Najsmutniejsze jednak było to, że wydawnictwo ściągnęło prześladowanie na autorów ze strony rządu i własnej hierarchii: trzech wspomnianych młodzieńców oddano jeszcze w r. 1836 pod ścisły dozór policyjny, a po ukończeniu gr. kat. seminaryum odmówiono im *titulum mensae*. Ówczesny metropolita, przeciwnik rusinów, przez lat dziesięć odmawiał z tego powodu kapłańskiego święcenia Wagilewiczowi i udzielił je wreszcie nie inaczej, jak po deklaracyi piśmiennej, że winowajca nie będzie pisywał ani w krajowych, ani w zagranicznych wydawnictwach. To też życie szczególnie Wagilewicza przedstawia całe pasmo cierpień — głodu, chłodu i poniewierki wszelkiego rodzaju. A był to człowiek niezwykłej podówczas wiedzy w sprawach słowiańskich, nadzwyczaj pracowity i, rozumie się, zwykły literat, bez zachcianek rewolucyjnych.

Niepowodzenie pierwszej próby najbardziej dotknęło M. Szaszkiewicza, inicyatora całego tego ruchu. Wyświęcono go wprawdzie, ale dano mu kapelanijkę, gdzie okropnie biedował; umarł na suchoty w 32 roku życia (podczas choroby stracił był także wzrok i słuch). A mimo to wszystko on jeden wytrwał do końca i duch jego został następnie przewodnią gwiazdą dla ruchu w Galicyi.

Kierunek jego w literaturze rusińskiej panował dość krótko. Nawet najbliżsi towarzysze i przyjaciele zmarłego opuścili sztandar — Wagilewicz zmuszony był oddać się literaturze polskiej, zaś Hołowacki zmienił swe stanowisko. Co się tyczy inteligencyi ruskiej, ta dopiero w r. 1848 przyznała się do ruskiego ludu i jego języka i to głównie na rozkaz ówczesnego rządu, a nie z własnego przekonania. Dlatego też wkrótce porzuciła lud...

I dziś stosunek ten wiele pozostawia do życzenia. To też, zdaniem naszem, rusini galicyjscy najlepiej uczciliby pamięć tych pierwszych pionierów literatury i myśli spo łecznej, gdyby zrozumieli, że każde młodsze pokolenie ma prawo iść dalej od swoich ojców i gdyby się tego trzymali ściśle...

Zresztą, być może, że zjazd — jeżeli wogóle przyjdzie do skutku — przyniesie pewne porozumienie między rusinami wykształconymi przynajmniej co do działania w sprawie oświaty ludowej. Zobaczymy. Tymczasem „Proświta“ wydała właśnie książeczkę dla ludu p. t.: „*Markijan Szaszkiewicz*. Pro jeho żytie i pyśma“ — pióra profesora wszechnicy lwowskiej Om. Ogonowskiego. Książeczka ta należy do najlepszych wydawnictw „Proświty.“ Jest to pierwsza próba narodowców wyjaśnienia ludowi ruskiemu istoty ruchu literackiego, politycznego itp. — od czego dotychczas chroniono go, jak od zarazy. Niestety, te właśnie ustępy napisane są dorywczo, a przytem z błędami, których należało się strzedz, zwłaszcza wobec takich czytelników. Tak np dr Ogonowski gromi panslawistów wogóle, przyczem daje o nich tylko jednostronne pojęcie, pomijając kierunek Kostomarowa i Szewczenki, o którym wspomina w książeczce. Co się zaś tyczy rad praktycznych, to streszczają się one w zawezwaniu należenia do „Proświty,“ która ma kiedyś zjednoczyć wszystkich rusinów.

Hucuł.

Nosem już o brodę trąca,
A ledwo się stara trzyma.
Zamek spokój miał klasztoru,
A w nim takich starców dwoje,
Więc Bieś łatwo, bez oporu
Ujął rządy w ręce swoje.

VII.

Przybyły mu do pomocy
Różne zbiry i hunewoty.
Hulał z nimi w dzień i w nocy
Czyniąc z zamku dom sromoty.
Przeminęły na zamczysku
Błogie dni Aranjuezu,
Czeladź, służba od ucisku
Wciąż wołała: — „O, Herr Jesu!“
Nie krępując się w zdrożności,
Hańbił córki swych wasalów,
Dusił kmiotków, zdzierał włości
Głuchy na krzyk skarg i żalów.
Dawno się przebrała miarka
Jego orgiom, lud cierpiący
Coraz głośniej jęczy, sarka
Na wybryki wielkorządcy.
Była pewna wieś w te czasy
Wciąż kwitnąca, niby wianek,
Znana z cnoty ludu, z krasy
I urody swych włościanek
Tem się różni ta osada
Z dawna orząc swe zagony,
Że na *morgen*! odpowiada:
„Niechaj będzie pochwalony!“
Biesio najpierw pożądliwy
Wzrok skierował na ten kątek,
Żyzne go nęciły niwy,
Powab niewiast, wdzięk dziewczątek.
Nieraz skradał się pod płoty,
Upatrzywszy w sadzie dziewkę,
I zapuszczał się w zaloty,
Lecz strugano mu marchewkę.
Włość się miała na baczności
I pomimo wszelkie względy
Dała poznać jegomości,
By poskromił swe zapędy.
Opór wzmaga żądz zarzewie,
Cnota zwykle zawiść budzi...
Postanowił Biesio w gniewie
Zetrzeć w proch opornych ludzi.
A więc odtąd ani chwili
Już spokoju im nie dawał,
To zniósł jaki bądź przywilej,
To oderwał łanu kawał,
To przeorać kazał drogi
Do włościańskich pól i chatek,
To uciskał lud ubogi,
Podwyższając wciąż podatek,
To bezkarnie i bezbożnie
W czasie żniw urządzał łowy
I rozpuszczał swoją psiarnię
Na niezżęty łan zbożowy.
Włość milczała wciąż znękana
Pod Biesiową ręką twardą,
Darząc za to swego pana
Niemą, lecz wymowną wzgardą.
Często zsyłał te opały
W imię wyższej swej kultury:
Pangermańskie ideały
Gwałtem wcielał w słowian skóry.
Przeto wydał cyrkularze:
„Kto się *pochwalonym* wita,
„Będzie musiał uledz karze
„Albo z włości precz — i kwita!“
Ten drakoński rozkaz jego
Nie przestraszył ludzi bardzo;
Czyż dla grymasu głupiego
Starą mową swą pogardzą?
Więc go na złość każdy drażni,
A słusznością ośmielony
Mówi głośniej i wyraźniej
Przy spotkaniu: „pochwalony!“
Taki gniew w nim zbudził srogi
Opór krnąbrnej tej hołoty,
Że Bieś, chcąc jej przytrzeć rogi,
Wziął się do niecnej roboty.

* * *

W gabinecie przed stolikiem
Z piórem w ręku Biesio siedzi,
Schylił nad papierów plikiem
Kark czerwony, niby z miedzi.
Przed nim duża, jak makutra
Stoi tuż atramentnica:
Znany to kałamarz Lutra,
Który dostał od rodzica.
Zasępiwszy czoło chmurą
Biesio w to naczynie mnisze
Raz wraz wsadza swoje pióro
I wygnańczy edykt pisze.
Długo w nocy piórem skrobie,
Już zmorzyła go senliwość,

BADANIA NAUKOWE.

ODKRYCIA W KOLORADO I NOWYM MEKSYKU.

Na zachód od gór Skalistych, na południe od Oregonu, na północ od Meksyku rozciąga się płaskowzgórze bez wody, puste, porosłe tu i owdzie drobną sosną, w miejscach niektórych zupełnie pozbawione roślinności. Okolicę tę, dwa razy rozleglejszą niż Francya, przerzynają głębokie wąwozy, noszące nazwę „kanonów“ i przechodzące niekiedy w dolinę szerszą. Ich ściany dosięgają do 1,000 stóp wys., to wspinając się prostopadle, to tworząc u podnóża do $^1/_3$ swego wymiaru nasypy z rumowisk skały, i składają się z warstw rozmaitej wytrzymałości na wpływy atmosferyczne — co dało początek mnóstwu szczelin poziomych, wąwozów pobocznych, wreszcie tak zwanym „mezom.“ Są to rozproszone śród doliny skały z powierzchnią płaską, niby wyspy, podnoszące się prostopadle z niej do 20 — 80 stop. wys., łączące się przesmykiem wąziuchnym ze ścianą wąwozu lub zupełnie odosobnione. W głębi wąwozu, w wyżłobieniu głębokiem 20—40 stóp, płyną strumienie, dążące do Kolorado lub Rio del Norte. W porze dżdżystej powstają tu potoki wartkie, zapełniające łożysko całe aż do krawędzi; krótko jednakże żyją i kto nie oglądał ich w tej porze, z trudnością uwierzyłby temu, patrząc latem na koryta wyschłe, pełne kurzu i tylko miejscami pokryte kałużami. Wszakże, dzięki tej odrobinie wilgoci, w dolinach i kanonach skupia się roślinność cała płaskowzgórza, lecz za to przestrzeń pozostała, po za temi smugami wąskiemi, przedstawia widok jednostajny, gołej i suchej pustyni, w której można spotkać zaledwie hordy utahów i nawajów, najdzikszych plemion Ameryki północnej.

O okolicy tej chodziły oddawna wieści, zakrawające raczej na baśń. Wspominano o ruinach olbrzymich, wieżach niedostępnych na skałach, rysunkach i rzeźbach na kamieniu. Wreszcie wysłano tam ekspedycyę naukową w 1874 r. Jej przewodniczący powrócił zachwycony tem, co oglądał; w dwa lata potem dotarła tu wyprawa nowa, która zajęła się pilnie zbadaniem kanonów rzek Mancos, Montezumy, Gilo i S. Juana. Okazało się, że człowiek zamieszkiwał ludnie w tej okolicy niegościnnej. Topinard, który w *Przeglądzie antropologicznym* zdawał sprawę z odkryć tych, powiada: „Jeśli sądzić z ruin, ludność była bardzo znaczną. Ziemia i urwiska pionowe są posiane niemi. Oko dostrzega je wszędzie, a gdy zbywa na tym dowodzie, wtedy licznie rozproszone szczątki wyrobów garncarskich świadczą o obecności dawnej człowieka.“ W pracach zaś członków wyprawy spotykamy odezwania się rodzaju następującego: „ruiny te wykazują cywilizacyę i inteligencyę wiele wyższe od kultury mieszkańców obecnych.“ Część główną i prawie jedyną odszukanych dowodów stanowią mieszkania. Zaczniemy więc od tak zwanych „gniazd jaskółczych,“ zapożyczając opisu ze sprawozdań urzędowych. „Niebawem pokazały się domy w skałach; nie zauważyliśmy ich wcześniej dla braku lunet, gdyż niepodobna wątpić, że ciągną się wzdłuż kanonu całego... Ilekroć znajdywaliśmy je, były zbudowane z tegoż co skała materyału; powierzchnia wygładzona nie wykazywała żadnych linij domu i dopiero badanie staranne pozwalało ją wyróżnić od skały... Widok jednego, wyżej umieszczonego od innych, zachęcił nas do wymierzenia jego wysokości; rzuciliśmy się wszyscy, lecz dwóch tylko dotarło do celu. Pięćset stóp pierwszych drapaliśmy się po rumowisku, porosłem cedrami, następnie szły skały naprzemian to pionowe, to pochyłe. Poniżej domu wznosiła się krawędź prostopadła, 100 stóp wys. Stanęła na zawadzie; zaczęliśmy szukać szczelin, w które możnaby wsadzić chociażby palce, wreszcie weszliśmy. Był zbudowany nad przepaścią samą, skała okrywała go ze stron wszystkich; wyżłobienie było głębokie na stóp 10, długie na 20; odległość pionowa od podnóża groty do skały wierzchniej stóp 15. Dom zajmował połowę tej przestrzeni; umieszczony w szczelinie przypominał gniazdo jaskółcze i składał się z 2 pięter wysokich razem na stóp 12. W parterze była jedna izba frontowa, 6.9 stóp kwadr., i 2 tylne po 5.7 stóp. W izbie frontowej było dwa otwory, jeden służący za drzwi i wychodzący na platformę, nad którą wznosił się na 2 stop., 20.30 cali kwadr. wielkości, i drugi, okno 12 cali kw., skąd odkrywał się widok na cały prawie kanon... Budowa tego małego gniazda ludzkiego wykazywała zadziwiającą zręczność, trwałość i staranność; ściany były pionowe, kąty doskonale proste.“ Z pokoju do pokoju prowadziły drzwi— okna. „Gdym zajmował się domkiem tym, inni przypatrywali się skałom, przekonywając się, że były niegdyś ludnie zamieszkałe. Znaleziono w pobliżu z pół tuzina mieszkań, niektóre zostały zdruzgotane przez oberwanie się skały, inne utraciły podwalinę swą i runęły w przepaść. Zwłaszcza dom jeden, nad przepaścią samą, powyżej tylko co opisanego, był jedynym co do śmiałości położenia swego; dziwiliśmy się odwadze twórców i ostateczności, do której zostali przynagleni. Obejrzenie staranne zapewniło o jego niedostępności zupełnej... Udaliśmy się dalej w dół kanonu Mac-Elmo. Co ćwierć mili ang. spotykaliśmy ślady wciąż nowych mieszkań, podobnych do opisanego.“ Po pewnym czasie „gdyśmy szli pod skałę wysoką na stóp 1,000 i dziwili się jej urwiskom, jeden z pośród nas zauważył poniżej szczytu skały domki maluchne, zbudowane w szczelinach poziomych. Dwu z wyprawy zapragnęło wymierzyć wysokość. Z kanonów bocznych wdrapali się na wierzchołek. Trudność cała polegała na tem, jak stąd zejść do domku; uskuteczniono to przez czołganie się wzdłuż krawędzi szerokiej cali 20 i nie na tyle wysokiej, by można było iść nie na czworakach. Z niebezpieczeństwem życia awanturnicy nasi przyczołgali się do platformy, na której wznosił się najdoskonalszy z tych domków. Stanowił on łączność jedną ze skałą. Spostrzegacz przypadkowy zauważyłby go zaledwie raz na 50, tak był podobny do skały, w której się gnieździł.“ W kanonie Rio Mancos mieszkania takie wznoszą się na 800 stóp nad doliną, w skale pionowej; nacięcia w ścianie skały pokazują, jak dostawano się; odznaczają się oknami wielkości dziur, drzwiami, swem położeniem odpowiadającemi oknom naszym i drobnymi rozmiarami izb. Domki te mają czasem po kilka piąter, składają się z 2—3 izb; często jednakże spotykamy szereg cały pokoików i gniazdo to przypomina gminę małą. Oprócz tych gniazd w skałach spotykamy jeszcze ruiny na mezach, których to ściany skalne uczyniono niedostępnemi prócz wejścia; wszystko wykazuje, że były to osady rolne. Są rozmiarów olbrzymich: ruiny z nad rzeki la Plata mają w obwodzie mil dwie, rumowiska tutejsze wynoszą z osobna 50, 80, 10, 60, 120, 10, stóp sześc.

Gdy usłyszał tuż przy sobie:
— *Prawda... miłość... sprawiedliwość!...*
Cały drgnął od stóp do głowy,
Spojrzał — za nim, u podwoi,
Wzrok utkwiwszy weń surowy,
Etyka niemiecka stoi.
Braknie wieńca na jej czole,
Twarz wychudła, poorana,
Suknia w łatach i na dole
Strzępi się jak szmat łachmana.
Lecz pomimo dziur w jej szacie,
Mimo utrapienia w twarzy,
Godność widna w majestacie
Ogień w oczach jej się żarzy.
— „Smoka naszłam w jego jamie,
Lecz nie trwoży mię ta żmija;
Dawniej nań mówiłam: kłamie,
Dzisiaj wiem już, że — zabija!...
Oto nowa, niesłychana
Zbrodnia nad ludnością biedną.
Gwałty Dioklecyana
Przed edyktem twoim bledną!
Którym miażdżysz i drzesz z mienia
Starców, dzieci, wdów gromady —
Powiedz, jakież twe dążenia?
Jakie hasła i zasady?
Córki moje w poniewierce
(O, nadobne moje kwiatki!)
Grot mi utkwił w samo serce,
Lecz nie zabił biednej matki,
Ona będzie w każdej porze
Wołać, żeś wróg człowieczeństwa,
Będzie pytać cię potworze:
Gdzie kres twego bezeceństwa?“

A w tem Biesio krzyknie: „Dosyć
Skowyczenia twego, suko!
Długoż ciebie będę znosić
Z uprzykrzoną twą nauką?
Poznaj-że dziś, moja miła,
Że zasadą moją — ot ten
Kułak twardy, godłem — siła,
A mem hasłem — *ausrotten*!
I to mówiąc, Bieś ze stoła
Swój kałamarz duży chwyta,
Tak ją gruchnął w środek czoła,
Aż trysnęła krew obfita.
Zachwiała się wpół umarła,
Lecz Bieś dał kolanem stołka
I za drzwiami się oparła
Owa prawdy apostołka.
Gdy zbudziła się z omdlenia
I stanęła znów na nogi,
Dawnych zmysłów ani cienia,
Mózg się zmącił u niebogi.
Cała pamięć po tym ciosie
W niej zatarła się, zanikła,
Tylko jedno w tym chaosie
Ausrotten wciąż się wikła.
Błyskawiczne źrenic groty
Już nie świecą — oko zgasło,
W twarzy uśmiech idyoty,
A na ustach Biesia hasło.
Więc z tem hasłem i tem słowem
Poszła znowu między ludzi
I bezwiednie słowem nowem
Nowe w nich zasady budzi.
Niejednemu był zagadką
W Etyce niemieckiej zwrot ten,

Jednak, jak za panią matką,
Mówił za nią: *ausrotten*!
Z owem hasłem kobiecina
Wciąż przechodzi wsie i miasta,
I codziennie, co godzina
Zwolenników jej tłum wzrasta.
Każda nowość ma powaby,
Co czerń ciągną niewolniczo:
Ausrotten! dzisiaj szwaby
Całem gardłem wszędzie krzyczą,
Powtarzają wszystkie usta...
Pieśniarz wplata je w swe strofy,
Bürger — piwosz, *Gretchen* tłusta,
Naród, wojsko, filozofy,
Nawet każdy śpiewa malec.
A w teatrze lub ogrodzie
Grają *Ausrotten-Walec*,
Kolor *ausrotten* w modzie,
Ausrotten też perfuma,
Kapelusze, pudr, pomada...
Ausrotten — dziś ich duma,
Narodowy kult, zasada!
Ausrotten — epidemia,
Która wśród nich dziś się szerzy,
Cała nią przesiąkła ziemia...
. . . .
Sława wam, kulturtregerzy!..

Włodzimierz Wysocki.

i więcej; ruiny z nad rzeki Ojo Caliente wznoszą się na płaskiej mezie 100—150 stóp wys., są z cegły suszonej na słońcu, 1,000,580 stóp. kw. powierzchni; z nad źródła azteków zajmują 480,000 stóp kw., masa kamieni obejmuje 1,500,000 stóp sześc. Po największej części są to zwaliska jednego lub kilku zaledwie budynków potężnych, składających się z ilości niezmiernej pokoi-komórek. W jednem np. rumowisku można jeszcze obecnie naliczyć 100 izb. Kształtem swym ruiny przypominają domy zbiorowe indyan-pueblów. Proszę wystawić sobie budynek 314 stóp szer., 544 dług. zbudowany z cegły suszonej na słońcu i wznoszący się w postaci schodów. Parter, pozbawiony drzwi, zajmują składy i spiżarnie; na nim zbudowano piętro pierwsze, lecz tak, że pozostawiono od przodu pas wolny; na pierwszem wznosi się drugie z podobnym pasem itd. aż do czwartego. Z piętra na piętro prowadzi drabina; zamiast okien—otwory drobne, zamiast drzwi środkowych—okno, zamiast zewnętrznych—wejścia z sufitu. Mnóstwo izb; w pueblu *B* w dolinie Rio Pecos jest ich 517, największa wynosi 16.9 stóp kw. powierzchni i 7½ wys. Rodziny, zamieszkujące budynek taki, stanowią gminę jedną społeczną, posiadają wspólne składy i grunta, i żyją na zasadach komunistycznych. W pośrodku gmachu znajduje się zawsze pokój okrągły, zamknięty zewsząd i oddzielony murem od izb otaczających z wejściem przez sufit lub długi a krzywy korytarz, tak niski, że trzeba czołgać się na czworakach — jest to „estufa“ tj. izba rady, dokąd schodzą się przewódcy puebla na radę w sprawach publicznych. Właśnie istnienia gmachów takich dowodzą owe zwaliska; jest to budowa, o jakiej nie mamy pojęcia najmniejszego, przypominająca falanstery Consideranta, i będąca szkieletem zewnętrznym zgoła odmiennych urządzeń społecznych. Wreszcie obok „gniazd w skałach“ i domów komunalnych obficie są rozproszone na urwiskach niedostępnych wieże i „badacz musi zadawalniać się czasami ich widokiem przez lunetę“ — są to prawdopodobnie strażnice w celach wojennych. Wieża każda składa się z 2—3, jedna wewnątrz drugiej, tem wyższych, im bliżej środka; przestrzeń wolna pomiędzy niemi podzieloną bywa murem poprzecznym na szereg komórek, z oknami-drzwiami. Wejście z zewnątrz po drabinie. Wogóle w budowlach tutejszych brak okien i drzwi europejskich, kominów, pieców itd.

Oto główne szczątki materyalne, tak sowicie rozproszone po olbrzymiej tej przestrzeni, obecnie jałowej i suchej; do nich dodać należy rysunki zresztą niezgrabne na skałach, szczątki garncarskie i broń kamienną. Sądząc z budowy osad rolnych, możemy odtworzyć ich byt społeczny — będzie to ustrój rodowy, przypadający na okres środkowy barbarzyństwa. Obecność zaś wież i gniazd na skałach wskazuje często wojny, czy też najazdy z zewnątrz. Ale kiedy żyli twórcy tych budynków, ochrzczeni przez antropologię amerykańską *cliff-dwellingami* (mieszkańcami skał?) jakże mogli tak ludnie zamieszkiwać w tej pustyni? gdzie się podzieli? wobec kogo musieli mieć się na baczności? czy byli ludem jednolitym? wszystko to są pytania bez odpowiedzi. Nauka stoi wobec zagadki, widzi ślady posuniętej już kultury—w pustej obecnie miejscowości i nie posiada wątku najmniejszego co do jej dziejów. W okolicy błąka się kilka plemion najdzikszych, dalej na południu spotykamy podobne budowle pueblów... Nauka zebrała opowieść jedną: „Okolica ta zamieszkałą była dawniej przez lud pokojowy, który uprawiał doliny, wyrabiał przedmioty z gliny, drzewa i kamienia, budował domy, nie znał metalów, pasł stada i czcił słońce. Przed 1000 lat przybyli wędrowcy dzicy z północy, praojcowie utahów, zaczęli napadać, pustoszyć i zabijać. Dla obrony pobudowano domy w skałach, gdzie chroniono się w chwilach napadu. Lata jednego najezdcy nie oddalili się, lecz osiedli. Naród, wyrzucony z siedzib swych, tułał się śród skał, budował wieże i warownie. Ale i tu nie pozostawiono go w pokoju, jaskinie były krwi pełne. Wreszcie prawi posiadacze w niedobitkach opuścili kraj przodków i udali się na południe.“ Podejrzywają, że jest to opowiadanie sfałszowane przez przewodników. Jedno tylko niewątpliwe, mianowicie, że ruiny zagadkowe skrywają w sobie byt społeczny zgoła odmienny od naszego *).

Lud. Krz.

*) Modele „gniazd“ w skałach, wież i pueblów znajdują się w muzeum etnograficznem w pałacu Trokadero (Paryż). Materyał czerpaliśmy ze sprawozdań wyprawy: „Bulletins of the United States geological and geographical Survey of the Territories.“ Patrz także sprawozdanie Topinarda w *Revue d'Anthropologie* 1878 i dzieło najnowsze Nadaillaca: *L'Amérique préhistorique.*

LITERATURA I SZTUKA.

Z ZACHODU.

IV.

Hiszpania bez szaty—w książkach Almiralla.—Proroctwa Tennysona. — Badania nad Schelleyem.

Przyrzekłem przedstawić treść sensacyjnej i ciekawej książki hiszpana, zdradzającego Europie, jak wygląda Hiszpania bez szaty. W broszurze *Katalanizm, jego racya bytu* itd., nakreślił p. Val. Almirall, prezydent „Centre catala,“ dwa przeważające na półwyspie typy w ich historycznym rozwoju i obecnym wyglądzie, w dwudrożnych dążeniach i poczętych niedawno starciach. Co tam powiedział ogólnikowo o rozkładzie politycznym i społecznym królestwa zjednoczonego, ilustruje przykładami w dziełku *Espana tal cual* (Barcelona, 1886), z bezstronnością surową, ale też z okrucieństwem prawie niepatryotycznem, skoro pisząc je, był przekonany, że posłuży ku pouczeniu o nieszczęsnym stanie kraju raczej zagranicy, niż tych, których karcicielską swą tendencyą poprawić pragnie. Kraj — powiada — nurtowany waśniami politycznemi i zagrożony w równowadze społecznej, ma interes maskowania się przed Europą—więc oto, jak wygląda bez romantycznych na biednym grzbiecie gałganów.

Towarzyszę autorowi, w bok sam nie odskakując.

Z 17 milionów mieszkańców przypada na samą Katalonię, zaludnioną najkorzystniej, bo w stosunku 108 mieszkańców na kilometr kw., 3½ miliona. W miarę zbliżania się ku żółtym i jałowym polom starej Kastylii, miasta i wioski rzedną, stolica, której ludność powiększyła się w ostatniem 25-leciu do ½ miliona, wyrasta w puszczy jak zaklęta. Wdziękiem i ochotą użycia przypomina Wiedeń. Ale droga do niej żmudna. Najszybszy pociąg kolei północnej przebiega zaledwie 35 kilom. na godzinę, podczas gdy w reszcie Europy szybkość ta przedstawia cyfrę dwakroć wyższą; inne nie dochodzą nawet do 30, kursują ledwo raz na dzień i doprowadzają podróżnych do rozpaczy przestankami, zależnymi od humoru naczelników stacyi, których rzemiosłem, równie jak całego urzędniczego świata, jest polityka. Regularność ruchu pociągów zresztą zależną jest niekiedy od bandytów, a każdy pamięta, jak w czasie ostatniego pronunciamiento część buntowników uciekła z Madrytu jednym pociągiem, zaś policya za nimi pogoniła drugim. Dyrekcye tak dróg żelaznych, jak ważniejszych domów handlowych i fabrycznych, znajdują się w rękach cudzoziemców i przebywają w Paryżu, a że wyższych urzędników wybiera się z pomiędzy deputowanych i ministrów, bezkarność pozwala na wszelkie wybryki. Canovas del Castillo jest dyrektorem 4 lub 5 wielkich kompanij; ta dwoistość rzemiosł stanowi najcharakterystyczniejszą cechę ludzi politycznych. W ministeryum niema podobno jednego, któryby nie był co najmniej beletrystą lub autorem traktatu filozoficznego.

Prowincye środkowe zdolne są uprawiać jedynie przemysł rolniczy — a i do tej pracy brak im rąk; północne, choć urodzajniejsze, nie wystarczają na wyżywienie mieszkańców; stąd tam skutecznie rozwinęły się handel i przemysł. Kastylijczycy, potężni zawsze swym pochłaniającym wpływem, chwyciwszy w rękę politykę, stali się paladynami nędzy i ciemnoty; rząd każe się odżywiać i nasycać, ale o podniesienie produkcyi nie dba. Kilkanaście pięknych portów zarasta zielem morskiem na zamulonych kanałach. Hiszpania przewyższa inne państwa jedynie wysokością długu i ilością generałów; od r. 1865 do 1879 dług państwowy wzrósł z 5 na 15 milionów i przerasta deficyty takich mocarstw, jak Stany Zjednoczone i Austrya, wynosi ²/₃ długu Anglii, bogatszej od szlacheckiego półwyspu 50 razy. Generałów liczy przeszło 600.

Skąd ta nędza? Hiszpan jest nadzwyczaj trzeźwy; zadawalnia się piątą częścią strawy robotnika francuskiego; szklanka wina i kawałek chleba wystarcza mu jak włochowi, czem tłomaczy się konkurencya wypowiedziana francuskim robotnikom na obu pograniczach, konkurencya, z której wyniknąć musi wnet nowa kwestya społeczna. Skąd więc ten upadek żywotności kraju? Autor widzi w nim historyczne przekleństwo absolutyzmu. Gdzieindziej był czasem potrzebny; w Hiszpanii stał się od dawna synonimem dzikości, fanatyzmu i ciemnoty; pognębił piękny kraj i wyludnił go, to też nienawiść doń zamieniła się dziś w namiętność narodową, popularną. Widmo jego zawsze czyha; z jednej strony nie przestał spiskować syn Izabelli, z drugiej parlament, wyzyskawszy tę odrazę narodową, przedzierzgnął się sam w dusiciela, usadowiony w klerykalizmie i dławiący jęki ludu, by nie zdały się bluźnierstwem.

Ludzie polityczni stolicy, zmieniający się nieustannie, by każdy dostał część swoją, noszą, według autora, dwie twarze: jedną dla święta z zasadami, sztandarami i pozorami teoretycznej wiedzy politycznej; tę twarz przybrawszy, roztrząsają poważnie, czy należy zwać się *conservador liberal*, czy *liberal-conservador*, lub tworzą partyę zgrupowaną według książeczki Proudhona: *Le principe fédératif*. Drugą twarzą śmieją się do siebie w poufnem kółku, jak magowie czarodzieje. Polityka jest środkiem istnienia całej arystokracyi madryckiej, bo dość raz być ministrem, aby za ten trud pobierać pensyę przez całe życie; jest też warunkiem świetności miasta. Sprawy prowincyi rozstrzygają się w stolicy, a każda musi być opłacona łapówkami: *chanchullo* (czanczuljo). Deputowani służą ojczyźnie bezinteresownie, nie wstydzą się jednak wystawiać pałaców. Siatka łapownictwa z tym błyszczącym pająkiem w środku rozciąga się na prowincyę i ma w różnych centrach swoich podpajączków. Gubernator cywilny Barcelony, posiadający nie więcej nad 15 tysięcy *pesetas* (franków) pensyi, wart jest, mówiąc z angielska, 500 tysięcy. Dochody gubernatorów pochodzą ze znanych wszystkim źródeł; bandytyzm i prostytucya składają najpokaźniejszy i najniezawodniejszy haracz. Bandytyzm, to także oryginalny kwiat krajowy. Melgares, zabity niedawno przez jednego z towarzyszów, grasował w Maladze i Grenadzie, a municypalności Madrytu płacił 2 500 *pesetas* za bezkarność; był też bardzo czynnym rządowym agentem wyborczym. Obiega anegdota, że przy rozdzielaniu zapomóg w Andaluzyi mieszkańcom po-

szkodowanym wskutek trzęsienia ziemi, komisya, małe żywiąc zaufanie do władz prowincyonalnych, zleciła tę czynność Melgaresowi. Jest to jeden z dowodów popularności bandytyzmu, protektora ubogich, mściciela krzywd ludu. Wżył się on w ciało społeczne jako potężny składnik demokracyi. Melgares był bandytą klasycznym; drugi, Bisco de Borge, ma być ponury i okrutny; latoroślą tej ciekawej gałęzi przemysłu jest przemytnictwo.

Czyta się w książce Almiralla rzeczy, w które prawie wierzyć trudno. I tak, wyjaśniając fałszerstwa wyborów, opowiada o urnach z podwójnem dnem, o przebieraniu zamiataczy ulic za wyborców, o systemie Sagasty, który stworzył „bandę maczugi“ (*partida de la porra*), rozstrzygającą elekcyę sztyletem i rewolwerem, o wszechmocy gabinetu, który dobiera sobie do izby nietylko większość, ale i opozycyę, aby harmonia istniejąca między rządem a parlamentem nie wydała się zbyt śmieszną— itd. Przekupstwo i nepotyzm dochodzą do zenitu nieprawdopodobieństw: protegowani pobierają pensye za wymarzone urzędy; młodzi podupadli arystokraci nie wstydzą się pobierać płacy odźwiernych i chłopców biurowych. Armia liczy zaledwo 70 tysięcy kontyngensu; marynarka, przedstawiająca, jak we Włoszech, pokaźną cyfrę 35 milionów w budżecie, nie posiada nawet jednego pancernika, zdolnego do walki. W gorączce zatargu karolińskiego chciano nabyć dwa pancerniki, które dla Chin przygotowała pewna fabryka angielska; jeden z ówczesnych ministrów naszczęczył je, przyrzekając nabyć po 13 milionów franków; Castelar wykrył później, że te same okręty ofiarowano poprzedniemu ministeryum po 8 milionów.

Obok typu ministra i deputowanego istnieje w Hiszpanii jeszcze jeden, wojownika-spiskowca. Nosi kapelusz z szerokiem rondem, wysokie buty i laskę z główką Rzeczypospolitej lub Don-Karlosa; jest to rodzaj włoskiego *condottiere'a* lub Wallensteinowego werbownika. Ci zuchowie przestraszają już nazwiskami: Enguerino w Walencyi, Xich de Barraquetas w Barcelonie, Becerra w Madrycie. Po śmierci Alfonsa XII panował między nimi ruch niezwykły.

„Żyjemy w błędnem kole — kończy p. Almirall. Gwałtowne wstrząśnienie mogłoby nas zbawić, ale musiałoby to być wstrząśnienie powszechne, przekształcenie zupełne. Kto go dokona?..“

Może i niepotrzebne te ku odrodzeniu zabiegi, skoro świat się wnet skończy i słońce zagaśnie, za proroctwem Tennysona. Osiemdziesięcioletni staruszek chce „skonać grając na lirze.“ *Locksley Hall sixty years after* (Locksley Hall po 60 latach) zwraca myśl ku młodzieńczemu dziełu poety, a różnica wieku mówi dostatecznie o różnicy ich wartości estetycznej. W tamtym opowiedział pierwszy swój zawód miłosny całą siłą ówczesnego talentu; tu, odwiedzając smutne wspomnieniu miejsca, nie próbuje już oczywiście miotać się namiętnie; osobiste rozczarowania, wytłomaczone znikomością rzeczy ludzkich, zmieniają się w zapał dla postępu wiedzy w czasie owych lat 60. Dziwne nieco zestawienie: strata kochanki i udoskonalenie żeglugi... Ale wizya przyszłego świata i przyszłych cudów i tego „parlamentu ludzkości,“ który był piękną poety utopią, zakłócona jest strasznymi widokami. „Tam w cieniu postęp kuleje na paralitycznych nogach, a zbrodnia i głód rzucają na ulicę tysiące naszych dziewcząt. (Że to smutne, wie o tem najlepiej *Pall Mall Gazette*). Wy autorowie, ateusze, krytycy, romansopisarze, realiści i poetkowie — róbcie swoje. Malujcie cielesny wstyd natury najżywszymi kolorami sztuki, analizujcie bezlitośnie zbrodnie waszych braci. Precz powściągliwość, precz przyzwoitość, naprzód, rozbierajcie wszystko do naga. Żywcie rozwijające się róże młodzieży pianą waszych kloak (samo róże miałyby się może nienajgorzej); mąćcie źródła, żeby każdy zanieczyście strumień. Brudźcie nawet fantazyę dziewcząt szumowinami zolizmu — tak, naprzód, aż do dna przepaści.“ To narzekanie starca usuwa się z pod krytyki, boć nikt mu nie przeczy, że mogłoby być lepiej, niż jest na świecie. Co w tej książce pozostało pięknego, to brzmi jak melodya starej kataryńki, której cylinder już się obtarł; dźwięki jeszcze słyszy się te same, ale o czystości i sile tonu mowy być nie może; starość też zdradza się w niej charakterystycznem skrzypieniem.

Rodzina Shelleya zgodziła się nareszcie na wydanie dokumentów do biografii poety. Kult Shelleyowski w ostatnich czasach rozwinął się w Anglii nadzwyczajnie; powstałe na wzór setki innych *Shelley society* ogłaszało nowe wydania krytyczne, poemat *Hellas* przedstawiony w muzycznych chorałach i dramat *Cenci*, z miss Almą Murray w roli Beatrice, były tryumfem dla sceny. Społeczeństwo wreszcie dorosło do ocenienia wspaniałości marzycielskich jego pomysłów. Biografie dotąd istniały liczne; osoba Shelleya, związanego taką przyjaźnią z Byronem, drażniącego umysły ogromem nieznanych zbrodni, a kuszącego wdziękiem swego mitycyzmu, znalazła badaczy w Trelawnym (Ostatnie dni Shelleya), Rossettim (Pamiętniki Sh.); pani Shelley objaśniła jego poezye w przypiskach do wydań: Jeaffreson prostował szczegóły z wędrówki po Szwajcaryi i Włoszech w książce: „Prawdziwy lord Byron.“ Mimo więc zdjęcia pieczęci z chowanych zazdrośnie skryptów, świeżo ogłoszona książka Drowdena *The life of Percy Bysshe Shelley* nie przyniosła prawie nic nowego i nic tak wzruszającego, jak przynieść ma otwarcie papierów Byrona (t. z. *Hobhouse Papers*) w r. 1900. Drowden kreśli dokładniej lata młodości poety, pobyt w Oxfordzie i portret jego w r. 1817, prostuje podania o miss Clairmont (Claire w biografii Byrona) i twierdzenie Rosettiego o śmierci Shelleya, spowodowanej jakoby walką z korsarskim statkiem w czasie pamiętnej burzy; drukuje kilka mniejszej wartości utworów poetyckich, między innymi wiersz do Janthe, córki nieszczęsnej Henryety. Pierwszej żonie Shelleya, przyczynie jej samobójstwa i roli, jaką odegrał Shelley w r. 1814 między Henryetą a drugą swą żoną Maryą, poświęcone ogromne rozdziały książki, pisane z obojętnością dla wzruszającej tej historyi zbyt pedantyczną i okrutną. Krytyka angielska zganiła wywody autora, między innymi Hall Came (w *Academy*, grudzień, 1886) wykazał charakter poety w świetle nader niekorzystnem, kończąc: „Shelley był wielkim poetą, nie był niestety wielkim człowiekiem.“ Przeniewierstwo lekkomyślnej Henryetty nie ulega dziś wątpliwości, Shelley jednak poznał ją, wierząc w jej niewinność i tem spowodował katastrofę, która mu do końca życia bolesną zmorą tłoczyła sumienie.

Dzieło jest świeże; nie wszystek o niem jeszcze wylany atrament; w tych zmartwychwstałych studyach nad Shelleyem jednego życzyć sobie warto: ach, urzeczywistnienia utopii ludzkości roślinożerczej. Być może, iż zmniejszy się z niem liczba kapuścianych głów...

Egrot.

LITERATURA FRANCUSKA.

Paryż, 25 stycznia.

Ruch literacki i księgarski. — Ziemia Zoli. — Literatura rosyjska we Francyi. — Symbolizm i „instrumentacya poetycka.“

Nic szczególnie godnego uwagi i nowego na francuskim rynku literackim. Na wystawach księgarskich wciąż jeszcze stosy dwutomowej *La France juive*, tłoczącej swe 115 wydanie... Obok — zeszłoroczny jeszcze *Tartarin sur les Alpes* Daudeta, pośród powodzi obrazków i romansów, znikających szybko z półek księgarskich — żyją bowiem jak niektóre skrzydlate owady — krótką chwilę. Podnosimy przy tej sposobności jedną dobrą stronę francuskiego księgarstwa. Każda powieść, choćby najmizerniejsza, pojawia się tu w wydaniu książkowem, co jej zapewnia jakiś żywot, choćby motyli — gdy u nas najlepsze często utwory giną, poćwiertowane w feljetonach pism i dzienników. W tem rozkawałkowaniu stają się one dla niewielu dostępne, a gdy dla jakiegoś szczęśliwca nadejdzie pora wydania zbiorowego, to wtedy interes dla powieści już minął lub ostygł.

Z pośród tego nawału książek francuskich, bo drukuje się ich wciąż mnóstwo wielka, na wyróżnienie zasługuje *Mont-Oriol* Guy de Moutpassanta, czytanego zawsze skwapliwie; *Le Calvaire* Oktawa Mirbeau, pisarza nierównego talentu, mającego jednak chwile niepośledniej siły i wyrazistości. Temat do tej krzyżowej Kalwaryi zaczerpnął autor w tragicznych latach 1870—71, napoiwszy swych ziomków wciąż jeszcze sączącą się goryczą i sarkazmem. Lepsze to, niż powierzchowne zamazywanie ran i czczy szowinizm. Piewca *Grobu Agamemnona* zgodziłby się na to niewątpliwie. Najbardziej jednak oczekiwaną jest *La Terre* Zoli, zapowiedziana na przyszły miesiąc. *Figaro* drukował już parę ustępów z tej powieści, odznaczających się właściwym autorowi talentem i plastyką; reporterzy przytem brali już na egzamin samotnika z Meudon i wywiedzieli się o treści tej *Ziemi* obiecanej. Da ma Zola wstrząsającą epopeę chłopską: ukaże surowe i trwałe, pełne jednak siły postacie ludowe, namaluje je „impresyonistowskim“ pędzlem Bastien Lepage'a, zajrzy w chłopskie głowy i serca, a wydobywając na jaw „dokumenty ludzkie,“ będące „przedhistorycznością żyjącą,“ nie zapomni również o rzewnych i tkliwych stronach człowieczego istnienia, którym zawsze pewien kącik, opromieniony sympatyą i głębszem zrozumieniem natury ludzkiej, w swych utworach udziela. Zola poruszy także sprawę interesów, nurtujących warstwy ludowe, i dotknie przebiegających je prądów. W *Germinalu* wkroczył nader śmiało w sferę stosunków społecznych, nie zapomni więc o nich i w swej najnowszej powieści.

Podczas jednak gdy on postępuje wciąż zwycięzko i coraz pewniejszym krokiem po naturalistycznym gościńcu, który sobie wytknął. zdoławszy przytem wyswobodzić się z pęt własnego doktrynerstwa — naturalizm, jako szkoła, dogorywa we Francyi. Zaplątał się w filozoficzno-patologiczne sieci i ruszyć z nich nie może. Teodor do Wyzewa w ostatnim zeszycie *Revue independante* oskarża realizm rosyjski o zadanie śmiertelnej rany naturalizmowi francuskiemu. Twierdzenie o tym przyjacielskim *coup de grace* nie zupełnie wydaje mi się słusznem, naturalizm bowiem chylił się już ku upadkowi, czuł własne wyczerpanie, kiedy za pośrednictwem p. wicehrabiego Melchiora de Vogué realizm z nad Newy i Wołgi wylał się nad Sekwaną. Rzucono się namiętnie do tej prawdy, która szła ze Wschodu, niesiona politycznym wiatrem; widać już jednak i w tym kierunku przesyt, rodzony brat niesmaku. Psychologiczno-mityczny realizm rosyjski dawał Francyi, grzebiącej się w sekcyach anatomicznych, coś nowego, ten jednak wschodnio-europejski — jak go p. Vogué nazywa—nie mógł się zaaklimatyzować zupełnie na gruncie francuskim, nasiąkłym całkiem innemi tradycyami. Literatura zaś rosyjska wpłynęła w roku zeszłym do francuskiej wielką rzeką. Cały Turgieniew, Tołstoj, Dostojewski, a nawet Salias, Pisemskij itd. Z naszej literatury mamy do zanotowania z chwil ostatnich jeden tylko przekład *Srula z Lubartowa* Ad. Szymańskiego p. t. „Le Juif de Lubartow.“ Pomieszczono go między „Contes de Noël“ z roż-

nych krajów w grudniowym zeszycie *Revue Britannique* i to pod nagłówkiem „Russie.“ Przekład zresztą dobry, p. Courriera. Kiedy mowa o piśmiennictwie naszem, winienem nadmienić jeszcze o „Chronique polonaise“ Stanisława hr. Rzewuskiego, zamieszczonej we wspomnianem *Revue indépendante.* P. Rzewuski zdaje sprawę z ostatnich utworów literatury polskiej, niepotrzebnie jednak kronice swej nadał ton zadzierzysty, w ocenie zaś powodował się raczej własnymi gustami, niż wskazówkami krytyki estetycznej i publicystycznej. Byłoby interesującem istotnie ukazać cudzoziemcom literaturę naszą w związku z warunkami, w jakich ona wzrasta i w jakich żyje społeczeństwo; wymaganiu temu jednak nie czyni zadość ani artykuł p. Rzewuskiego, ani dawniejsze studyum p. Wyzewy p. t. „L'Art contemporain en Pologne,“ umieszczone na wstępie do francuskiego przekładu kilku nowel Sienkiewicza. Obaj przytem krytycy, szczególniej p. W., zdają się hołdować estetycznemu wyłącznie punktowi widzenia w ocenie utworów polskich, co im zrozumienie piśmiennictwa naszego utrudnia. P. Wyzewa doszedł w artykule swym do tendencyjnych wywodów, pragnie bowiem z literatury naszej zrobić jakąś estetyczną zabawkę gwoli rozrywce szlachty zamożnej, której uzdolnieniami artystycznemi się zachwyca.

Wspomniane *Revue*, wychodzące od nowego roku w nowej seryi, zajmuje stanowisko pośrednie między naturalizmem i nowonarodzonym symbolizmem, którego się zresztą wypiera, lubo sam wielki mistrz tego kierunku, Stefan Mallarmé, pomieszcza w niem swe utwory. Symbolizm francuski wykazał dotąd wyłącznie prawie tendencye estetyczne, stara się o udoskonalenie formy, lubo zrobił już kilka ruchów wahadłowych w stronę zarówno socyalizmu, jak i dążeń reakcyjnych. Te ostatnie zresztą upodobania wystąpiły dotąd wyraźniej. Objawiono nawet chęć utworzenia osobnej literatury dla wyrafinowanych, wysoko estetycznie rozwiniętych, bez troszczenia się o artystyczną karm tłumów nieokrzesanych i niemających wyobrażenia o rzadkich przysmakach wyborowej kuchni literackiej. Pozedstawiciele tego kierunku przybrali dziwaczne tytuły smakoszów artystycznych: *décadents, deliquescents, quintessents* itp. Tej jesieni pojawił się cały rój ulotnych pisemek zwrotu, który ostatecznie przybrał nazwę symbolizmu. Pisemka te wszystkie prawie już upadły, sprawiwszy nieco wrzawy w łacińskim kwartale. Wojowały nietylko z zasadniczymi swymi przeciwnikami, lecz bardziej może jeszcze między sobą i pozagryzały się. Mimo to kierunek istnieje i liczy już znaczną liczbę młodych adeptów, uznających w Pawle Varlaine i Stefanie Mallarmé najbliższych swych mistrzów. Sonety i wszelkiego rodzaju poezye sypią się jak z rogu obfitości z tek młodych symbolistów, jakby za dobrych czasów pierwszego romantycznego wystąpienia. I atmosfera nawet podobną jest nieco do powietrza, którem oddychali pierwsi romantycy. Reakcya rozpościera znowu nad światem swe czarne skrzydła. Czuć ją w nauce i w polityce i w życiu społecznem. Klerykalizm i dążenia pokrewne organizują w ciszy do nowego ataku i wzrastają w siłę. Zwrot ku wiekom średnim, który przyświecał jutrzence romantycznej, daje się zauważyć i dziś, jest on nawet obecnie bardziej świadomy swych zadań i głębszy. Kierunek ten wystąpił w Anglii wcześniej niż na lądzie stałym i tu jednak pojawia się już zarówno w życiu politycznem, jak w literaturze i sztuce. „Przedrafaelizm“ angielski ma pewne pokrewieństwo z „impresyonizmem“ francuskim w malarstwie, a „estetyczym“ z za kanału La Manche ma wiele wspólnego z podobnym zwrotem we Francyi. Piętrzące się te coraz bardziej fale uderzają w liberalizm i wszystko, co z nim spokrewnione. Ten ostatni słabo odpiera ataki. Skuteczną tamę temu nowemu zalewowi postawić może tylko kierunek głęboko przejęty zadaniami społecznemi i wsparty na realnych zdobyczach postępu w sferze nauki, literatury i sztuki.

Wracając jeszcze do symbolizmu, powtarzamy, że za główne swe zadanie postawił on sobie udoskonalenie formy, uczynienie jej artystycznie wykończoną aż do muzykalności. Mamy właśnie przed sobą pierwszy noworoczny numer nowego, symbolistycznego miesięcznika, dającego przytułek różnym sonetom i „impromptu.“ Nosi on nazwę *Ecrits pour l'Art* i wydawany jest przez „groupe symbolique et instrumentiste.“ Chodzi bowiem, ni mniej ni więcej, tylko o stworzenie „instrumentacyi poetycznej“ lub „instrumentacyi mówionej“ i ożenienie poezyi z Wagnerem, do którego symboliści mają wielkie nabożeństwo. Młody poeta, autor *Légendes de Rêve et de Sang*, poetycznego zbiorku, René Ghil w dziełku swem p. t. *Traité du Verbe*, uważanem za poetykę symbolizmu, starał się położyć teoretyczne podstawy tej instrumentacyi. Powołuje się on na znany objaw fizyczny, że niektóre zjawiska dźwiękowe dają nam jednocześnie wrażenia barw. Jeżeli drgania głosowe koloryzują się, to i naodwrót barwy mogą wyrażać pewne dźwięki. Chodzi więc o to, żeby oznaczyć, jakim barwom odpowiadają samogłoski, następnie zaś, przy pomocy umiejętnej kombinacyi słów poetycznych, będziemy mogli nietylko malować, lecz i wygrywać symfonie. Symbolistyczni estetycy wytworzyli już całą taką poetyczną instrumentacyę i piszą poezye, w których o sens zwykle trudno, które mają jednak grać wszystkiemi barwami tęczy i pieścić ucho miłymi dźwiękami. Mówiliśmy i dotąd o barwności lub dźwięczności wierszy, były to jednak tylko przenośnie, gdy teraz mamy na seryo stworzyć cały poetycki wagneryzm.

Pozostaje mi jeszcze powiedzieć słów kilka o nowych sztukach teatralnych, które się na scenach paryskich niedawno pojawiły—odkładam to jednak do listu następnego.

E. Przew.

LITERATURA POLSKA.

Wiktor Czajewski: *Rys dziejów naszych.* Polska za Piastów, z mapką Szlązku (*sic*). Cena 35 kop. Nakładem redakcyi „Tygodnika powszechnego,“ Warszawa, 1887, 16-a, str. 139.

Obiecał autor we wstępie wyłożyć dzieje „wedle najnowszych wyników nauki, tak jak one są i jak być powinny“; wydobyć *na wierzch* „każdy ważniejszy moment“—tymczasem dał narodowi pakunek błędów historycznych, stylistycznych i ortograficznych, ugarnirowanych naiwnością niezwykłą.

Przystępując do układania podręcznika, powinien się był autor dowiedzieć, że Popiel nie „dwunastu wujów“ otruł, lecz, według Kadłubka, dwudziestu stryjów; że rumuni nie są takimi słowianami jak serbowie, pochodzą bowiem od kolonistów rzymskich, sprowadzonych do Dacyi przez cesarza Trajana. Niepotrzebnie p. Czajewski kroatów odróżnia od chorwatów, tj. z jednego narodu robi dwa; wbrew słuszno[illegible] Konstantyna W. nazywa monarchą „ba[illegible] barzyńskim.“ Na str. 15 Mieszko I jest *synem* Piasta, na następnej *prawnukiem* tegoż — w obu razach mylnie. Św. Wojciech nawracał nie pomorzan, lecz prusaków. Kazimierz Odnowiciel ożenił się nie z córką Jarosława, lecz z siostrą. *Łysym* przezywano Bolesława Rogatkę, nie zaś Władysława (str. 50), o czem p. Czajewski na innem miejscu zdaje się wiedzieć. Czy Bolesław Krzywousty uciekał przed mongołami? (str. 62) — z pewnością nie, tylko autorowi pomieszał się z Bolesławem Wstydliwym. Na str. 64 Henryk poległ w walce z prusakami, na 83 ginie w wyprawie na jadźwingów. Nieprawda, żeby Kazimierz Sprawiedliwy oddziedziczył Kraków po Leszku, synu Bolesława Kędzierzawego (83), objął go bowiem po Mieszku Starym. Zamiast ziemi chełmińskiej, ciągle autor oddaje krzyżakom chełmską (87. 95, 112); słupiejemy ze zdziwienia, czytając na str. 112, że Kazimierz W. traktatem z r. 1343 odstąpił zakonowi ziemię ciechanowską! (zapewne michałowską). Z brakiem ścisłości w podawaniu faktów elementarnych łączy autor nadmierną hojność w informacyach zbytecznych. Czy potrzebne jest zapewnienie, że Rzym „do dziś istnieje“? Czy nieszczęśliwy czytelnik *Rysu dziejów* nie mógłby się obejść bez wiadomości, że o kaszubach pisał „po polsku W. Czajewski?“

Sądy autora nie są lepsze od jego erudycyi. Na str. 67 pisze o Mieszku Starym: „był to pan rozumny, dążący do nieograniczonej władzy“; na str. 69: „do zwycięztw swych i celów nie zawsze narodowych środków używał.“ Raz go chwali, że dążył do władzy nieograniczonej, drugi raz gani, że postępował absolutnie, a obok tego wbrew prawdzie każe mu „śledzić i tępić fałszywą monetę.“ Zdradza p. Czajewski pewne aspiracye polityczne, lecz je stosuje zabawnie i wyraża niedorzecznie. „Ten więc wypadek — powiada z okazyi odpadnięcia Śląska — uczy nas, aby rządy nad krajem, jeżeli są monarchiczne, sprawował jeden człowiek silny i rozumny“ (179). Inny ustęp: „Nie pojmował więc (Leszek Biały), że Polsce potrzeba człowieka, dążącego do absolutnej władzy i dlatego zamiast ująć ster państwa w swoje dłonie, oddał Mazowsze bratu Konradowi (75) — przekonywa, że autor o właściwem znaczeniu władzy absolutnej niema pojęcia.

W stylizacyę haniebną wplata takie wyrażenia jak: „odzierżał,“ „płacić hołd,“ „mężna bitwa,“ „zawisło bezkrólewie,“ „słuchać się go,“ „liczyć się“ panem czyim, „siedział na godności,“ „nie da rady oprzeć się chciwym niemcom,“ „trupy poległy,“ „spoterany,“ „zadziora,“ „steżynka,“ „dzicz“ itp. itp. W książeczce, mającej na celu popularyzowanie dziejów, używa wyrazów: propagatorzy, pionier, pamflet, celibat, kultura, normalny, sukces, absorbować. Niektórych nie potrafi dokładnie napisać: rekowalescentka, antrepryner; innych nie rozumie, bo co np. ma znaczyć: „polityczno-niemieckie pamflety, prowadzone w duchu zaborczym.“

Ortografia woła o pomstę! Śląsk ma w *genit.* Szlązka i Szlązku; brak zgody przymiotników z rzeczownikami, odraza do nosówek, błędne używanie znaków pisarskich w każdym niemal uderza wierszu. Nie chcemy uważać p. Czajewskiego za przedstawiciela najmłodszej generacyi; nie dajemy przystępu bolesnemu przypuszczeniu, żeby wielostronna nieudolność jego była symptomem chwili obecnej...

Sm.

K. Sosnowski *Magnetyzm a hypnotyzm,* dawniejsze i współczesne w tym kierunku badania oraz poddawanie myślą w stanie hypnotycznym i na jawie, str. 73. [illegible]zawa[illegible]

Tytuł książeczki tak szczegółowo wykłada jej treść, że ujmuje wszystko, co ona zawiera. Autor zastanowiwszy się naprzód nad magnetyzmem zwierzęcym, wywołuje z niepamięci starych jego badaczów, poczynając od Mesmera. Dalej mówi o hypnotyzmie i elektrodynamizmie, o sposobach hypnogenicznych, wrażliwości, o poddawaniu myśli w snach hypnotycznych i na jawie,

wreszcie o zastosowaniu hypnotyzmu. Całe to przedstawienie jest dość dokładnem sprawozdaniem z prac dokonanych i rozpoczętych, objaśniającem czytelnika o przedmiocie w ostatnim okresie badań. Na końcu broszury p. S. wypisał bardzo szczegółową bibliografię dzieł, dotyczących tej sprawy.

Zarówno świeżo wydana książka Ochorowicza, jak niemal wszystkie rozprawy nad magnetyzmem i hypnotyzmem nie stawiają żadnej śmiałej hipotezy, tłomaczącej odnośne zjawiska, lecz przeważnie zajmują się zszeregowaniem i ugrupowaniem faktów, które dopiero w ostatnich czasach poddane zostały ścisłej obserwacyi i zyskały wiarę nauki. Jest to zaledwie surowy materyał, z którego może niezadługo jakiś głęboki umysł wyprowadzi więcej lub mniej szczęśliwe wnioski teoretyczne. To, co dziś mamy, nie wychodzi po za granice przypuszczeń doraźnych, wcale nieimponujących mesmeryzmowi. Teorya o tych zagadkach snuje się z samych znaków zapytania, na które odpowiedzi brak. Umysły niecierpliwe, albo zbyt lekceważące trudność zdobycia prawdy, przeskakują tajemnicę frazesem, ale jej do gruntu nie otwierają. Najsumienniej postępują ci, którzy nie kusząc się o pokonanie Sfinksa i nie łaknąc blagi, rzetelnie i przedmiotowo obserwują i porządkują materyał. Pod tym względem książeczka p. Sosnowskiego czyni zadość swemu obowiązkowi i przedstawia rezultat dotychczasowych spostrzeżeń i doświadczeń bardzo staranne. Czytelnikom też polskim, znającym rzecz z legend, bajek i niecisłych opowiadań dziennikarskich, oddaje ona niewątpliwą usługę. Autor nie przynosi zdobyczy nowych, samodzielnych, ale cudze wykłada jasno i krytycznie.

H.

KARTKI ESTETYCZNE.

XII. Głos zpoza grobu.

Z dziwnem uczuciem brałem do ręki wydane świeżo przez Gebethnera i Wolffa „Nowele" Stanisława Grudzińskiego. Zdawało mi się, że to z tamtej strony mogiły autor rękę wyciąga i książkę mi swą podaje...

Grudzińskiego pochowaliśmy przed trzema zaledwie laty. Poeta i nowelista padł w wiośnie życia na progu swego literackiego zawodu ofiarą suchot. A nie zabiły go one odrazu, lecz trzymały wprzód przez kilkanaście miesięcy na hiobowem łożu boleści i opuszczenia.

Pamiętamy poetę wszyscy, jakbyśmy się z nim wczoraj dopiero rozstali. Portret bohatera jednej z jego nowel („Koncert") służyć może najdoskonalej za portret samego autora. Przypuszczać nawet można, że podobieństwo to nie jest wypadkowem.

„Artysta mój (pisze Grudziński) nie posiadał zewnętrznych cech swego fachu. Wysoki, szczupły, brodę golił, ubierał się starannie, ale bez oznak szczególnych. Dopiero, gdy się wzięło pod uwagę niezmierną ruchliwość tej fizyognomii a żywość i wyrazistość zapadłych nieco oczu; gdy się spojrzało okiem psychologa na tę twarz młodą jeszcze, a już pooraną bruzdami lekkich zmarszczek i pokrytą na skroniach siatką błękitnych żyłek — wiedziało się napewno, że to artysta... I te ciemne oczy o rzęsach długich, nad któremi zarysowały się cienko brwi czarne: i ten nos długi, suchy z charakterystycznie ruchliwemi nozdrzami; i te usta blade, skłonne do smutnego uśmiechu, pod wąsem niepretensyonalnie spuszczonym, wszystko to świadczyło, że na tem czole anioł harmonii położył swój fatalny pocałunek, piętnując swą ofiarę na ciężkie życie..."

Grudziński był takim samym, co do jednego rysu. Zastanawiała w nim powaga wyższa nad lata i pewna spokojna, jakby urzędowa rytmiczność mowy i obejścia się— co czyniło go z pozoru człowiekiem zimnym a przynajmniej dokładnie zrównoważonym. Ale powierzchowność to maska człowieka. Poeta miał duszę namiętną i niespokojną; do równowagi zaś dalej mu było znacznie, niż do... grobu.

Szczęśliwym jednak trafem zewnętrzne owe cechy przedostały się i do utworów Grudzińskiego. Podobnie jak policzki jego, tak poezye i powieści nie kolorują się nigdy prawie krwią gorętszą. Strofy idą jedne za drugiemi równo, uszykowanemi w ordynek dwójkami, a proza opowiadania rozkłada się płasko i gładko, jak łąka mazowiecka.

A przytem, zarówno w pieśniach jak w nowelach horyzont zasnuty jest jakąś szarą mgłą melancholii, którą rzucać musiała na wszystko cierpiąca duszy poety. Z pod przewagi temperamentu, rzekłbym nawet — z pod wpływów fizycznego ustroju nie wyłamie się największy nawet artysta. A nietylko nie przynosi to sztuce szkody żadnej, lecz przeciwnie: im szczerzej wypowie się każda taka temperamentowa odrębność, tem sztuka trwalsze i ciekawsze zyskuje stąd dzieła.

Z siedmiu powiastek, składających się na tom „Nowel" Grudzińskiego, jedno tylko opowiadanie p. t. „Zamieć zimowa" posiada koloryt weselszy nieco; reszta nasiąkła jest nawskroś: smutkiem, goryczą, zniechęceniem...

We wspomnianym już naprzykład „Koncercie" występuje człowiek, obdarzony wielkim talentem i charakterem, posiadający zupełne prawo do szczęścia; szczęścia jednak tego nie zdobywa, gdyż — ciąży nad nim fatalność. Autor, choć nie mówi tego wyraźnie, wierzy jednak w „złą gwiazdę," przyświecającą pewnym, przez los nielubianym jednostkom. Indywidualność jego i w tem wierzeniu wyraz swój znalazła. Świadomy swej nieuleczalnej choroby i śmierci przedwczesnej, która *mimo wszystko* spotkać go musiała, z łatwością mógł uznać istnienie wszechpotężnej „ananke."

„Władysław — pisze Grudziński — posiadał wszystkie warunki potrzebne do powodzenia w swym zawodzie, z wyjątkiem jednego: nie miał szczęścia!"

Z punktu artystycznego wiara taka nie jest dobrą. Pozbawia ona utwór tego największego zajęcia, jakie wypływa ze śledzenia walki bohatera z otoczeniem. Taki Władysław, oprócz współczucia, budzi w czytelniku niecierpliwość. Chciałby on widzieć go w zapasach z losem — choćby zapasy te porażką skończyć się miały.

Zasadnicza myśl, jaka z noweli tej wypływa, jest tąż samą, jaką uwydatnił Kraszewski w powieści *Świat i poeta*. Smutna ona bardzo. Wedle niej, ludzie z wrażliwem sercem i głową, całkowicie artystycznemi dążeniami zaprzątnioną, muszą koniecznie być przez „świat" deptani. Taki pesymistyczny pogląd mógł się tylko na naszym gruncie urodzić. Trudno bowiem taić: grunt ten uprawie kwiatów nie sprzyja. Zbyt on jeszcze twardy i zimny.

Rozpaczliwą beznadziejnością w wyższym jeszcze stopniu tchną obrazki: „Okno na poddaszu," „List bezimienny" i „Lala."

W pierwszym z nich los łamie brutalnie życie młodego, szlachetnego marzyciela, którego winą jest to tylko, że nazbyt uwierzył w trwałość poetycznej sielanki młodości. Pierwsza kobieta, którą miał pokochać, zjawia mu się przy kwiatach i śpiewie, oblana promieniami wiosennego słońca i ozłocona wabniejszym jeszcze od nich blaskiem lat szesnastu. Następuje zbliżenie, poznanie, starcie się dwojga serc i ich następna harmonia. W noweli pod tym względem dzieje się wszystko zanadto jak... w noweli. Autor z dobrotliwą względnością ułatwia kochankom porozumienie się i wzajemne wyznania. Widocznem jest, iż pragnąłby utrzymać ich do końca pod czarem dni wiosennych i sielanki nie zmieniać w tragedyę; wyższy jednak nad jego wolę temperament zmusza go do rzucenia na głowy poetyzujących dzieci fatalistycznego pioruna. Młodzieniec, wezwany listem umierającej matki, opuszcza ukochaną, zostawiając ją pod opieką starej babki. Nieobecność jego przeciąga się kilka miesięcy. Przez ten czas matka wyzdrowiała, ale przyszedł list donoszący o śmierci staruszki. Po tym liście — milczenie. Rozkochany i niespokojny młodzian z gorączkowym pośpiechem podąża do miasta i trafia na... pogrzeb swej kochanki.

Tego rodzaju obrazki kreślą niekiedy na zimno, zaciągając się dobrem cygarem, pucułowaci figlarze, pragnący zdobyć sobie tak zwany *succès de mouchoir*; u Grudzińskiego jednak ponure to malowidło wyszło nietylko z pod pióra, ale i z duszy.

Z wielką siłą satyryczną opowiedział autor historyę „Lali" i jej nieszczęśliwego męża. Jest to jakby historya Galatei i Pigmaliona, w suknie mieszczańskie przebranych.

„Lala" to jedna z tysiąca tych... lal, fabrykowanych głównie przez wielkie miasta; lal, umiejących otwierać i zamykać oczy, chodzić, tańczyć i kłaniać się z szykiem, a nawet za pociśnięciem sprężyny wydawać dość przyjemny dźwięk, do ludzkiego głosu zbliżony. Gdy kto traktuje tego rodzaju zabawkę, jak zabawkę, nie grozi mu ona żadnem niebezpieczeństwem; biada jednak temu, kto uwierzywszy pozorom, uważać ją zechce za—człowieka. Taką nieroztropność popełnił Wadwicz, wykształcony, a szlachetny i pełen młodzieńczego zapału nauczyciel (wszystkie te zalety stanowią u Grudzińskiego rodzaj fatalnych szczytów, sprowadzających niechybne pioruny) — i nieroztropność tę zapłacił życiem, a raczej gorzej niż życiem, bo — utratą rozumu.

Nader konsekwentnie przeprowadzona jest ta mieszczańska tragedya. Obraz to pełny we wszystkich szczegółach. Wstrząsnąć on silnie sercem każdego czytelnika—z wyjątkiem innych podobnych „lal," których na świecie nie zbywa.

Znakomitą artystycznie jest chwila, gdy Wadwicz, przyprowadzony do szału niemal drewnianą tępością umysłu i serca żony, budzi ją niespodzianie w nocy i błędnemi oczyma wpatrując się w jej oczy, pyta:

— Lalu! czy ty masz duszę?.. Powiedz, czy ty umiesz tylko mrużyć oczy i wydawać głos, gdy cię nacisną?.. Czy masz duszę? Mów! nie bój się! nic ci złego nie zrobię... To nie twoja wina, że nie masz duszy; zapomniano ci ją włożyć!

A gdy przebudzona maryonetka, zrozumiawszy jedynie, że jej coś grozi, z przestrachem woła: o mój Boże! Wadwicz szydzi z niej piekielnie:

— Jakto, alboż ty wiesz co o Bogu? Kto on? czy sławny jaki baletnik, czy może jaki tanice nowomodny? Czyż to Bóg maluje tak pięknie lalki i daje im takie oczy szafirowe?..

Ta jednak silna scena niepotrzebnie kończy się płaczem serdecznym Wadwicza, który, bądź co bądź, jest oznaką słabości. Słabymi jednak są wszyscy bohaterowie Grudzińskiego. Tryumf Lali i nieszczęście jej męża czynią na czytelniku wrażenie przygnębiające. O ileż bardziej wolałby on patrzeć na tryumf szlachetnego człowieka a zdeptanie takiej lichej, nieprzebudzonej jeszcze duchowo, poczwarki!..

„List bezimienny," to także porażka serca szlachetnego i pełnego miłości z samolubnymi instynktami zwykłych „zjadaczów chleba." Zacny młodzieniec, naprawiając błąd swego ojca, opiekuje się jego naturalnem dzieckiem — które w chwili opowiadania jest już dorosłą, ładną dziewicą. Stosunek ten, z konieczności okrywany tajemnicą, podpatruje ktoś z niechętnych mu „nie-

toperzów" i donosi o nim rodzicom jego narzeczonej, przedstawiając naturalnie rzecz całą w świetle najzupełniej fałszywem. Młodzieniec zaprzeczyć faktu nie może; względy zaś łatwe do pojęcia nie pozwalają mu jednocześnie wyjawić właściwego charakteru tej dwuznacznej z pozoru opieki. Zaplątany w położenie bez wyjścia, pojedynkuje się ze swym oszczercą i... pada od jego kuli.

Gdy przed duszą wrażliwego czytelnika przesuwa się cały szereg obrazków na taką nutę nastrojonych, uwierzyć on może mimowoli, że na świecie dość jest być człowiekiem uczciwym i poświęcającym się, aby zginąć marnie w pierwszem starciu się z fałszem i nikczemnością. Dalsze wnioski, jakie z tego logicznie się wysnuwają, mogą być dla sprawy ogólnej moralności nader niekorzystne. Gdyby Grudzińskiemu los nie był poskąpił życia, uląkł on by się sam gorzkich owoców, jakie na niwie, takim beznadziejnym pesymizmem zasiewanej, łatwo wyrosnąć mogą. A serce jego, ideałom dobra i piękna szczerze hołdujące, zgoła inne wyznaczało pracy swej posłannictwo...

Pogodniej nieco, choć za tumanami chmur, mgły i śniegu, świeci słońce w powiastce p. t. „Zamieć zimowa." Kończy się ona przynajmniej wesoło i nie pozostawia czytelnika pod wpływem duszącego jak zmora zwątpienia. Ale i tutaj zły z gruntu charakter panny, która zrywa z narzeczonym dlatego tylko, że na ślub spóźnił się, ciemną plamę na jasne tło rzuca.

„Śnieżyca" wreszcie, to bajka fantastyczna, coś w rodzaju „snu wiosennej nocy"— poetyczne rojenie człowieka słabego, który o bolesnej rzeczywistości chce zapomnieć, ucieka przed nią w tęczowe wyobraźni kraje.

Na ogół „Nowele" Grudzińskiego posiadają wartość literacką niemałą; po przeczytaniu jednak tej książki, powstaje w duszy uczucie tak bolesne, jak bolesnem było życie jej autora...

Wiktor Gomulicki.

TEATR.

E. Lubowski *My się kochamy*, komedya w 5-u aktach odznaczona na konkursie imienia Wojciecha Bogusławskiego.

Właściwie autor powinien był ostatniemu swemu utworowi dać tytuł: „Osaczony II" — tak bliskie zachodzi podobieństwo między dwiema jego komedyami, stanowiącemi część plonu konkursowego; ale wątpliwość, czy policzyć ów zbieg na karb osłabnięcia fantazyi, czy też świadomie obranej specyalności, daje się rozstrzygnąć na korzyść p. Lubowskiego przypomnieniem sztuk jego dawniejszych. Przeważa w nich bowiem skłonność widoczna do odtwarzania wybitniejszych charakterem i zdolnościami postaci, które usiłują w dziedzinie swej działalności, politycznej lub społecznej, czynić więcej od przeciętnych jednostek, torować nowe drogi i bronić owocniejszych myśli, ale muszą potykać się bezustannie o barykady, wzniesione dłońmi głupców, miernot, służalców zasobnego stołu i pełnej kiesy, intrygantów, nieznoszących blasku wyższej inteligencyi, inicyatywy i moralności. Z takimi to żywiołami boryka się też bohater w mowie będącej komedyi.

Jest to zatem idea poważna, nawskroś nowoczesna, niegasnąca, wzięta ze świata żyjącego i żywotnego, wytwór stosunków wszelkiej daty. Postęp odbywa się siłami osobistości krytyczniejszych, uposażonych w odwagę, męztwo i dar obejmowania widnokręgów przyszłości; w tej robocie zazwyczaj bruździ im wyobraźnie powszedniości, wszelkiego rodzaju płazy, trzymające się tuż przy ziemi a niezdolne do wzniesienia bodaj na chwilę głów swych nad poziom tłumu. Odwieczna ta walka czynnej energii i bierności mas stanowi niewyczerpane źródło pomysłów tragicznych i komicznych, tem liczniejszych, że toczy się ona na wszystkich polach życia cywilizacyjnego. W społeczeństwach niejednolitych, niedostatecznie ukształtowanych, niewyrobionych, jak nasze, wszelki objaw śmielszej energii, uwieńczony powodzeniem, czy udaremniony zawiścią i tępotą otoczenia, nabiera w obu wypadkach ogromnej doniosłości, tam w dodatniem, tu w ujemnem znaczeniu. A doniosłość ta staje się widoczną i prawie że namacalną w sferze działalności ekonomicznej, albowiem gdzie chodzi o bezpośrednie dobro ogółu, warunkujące normalny rozwój innych gałęzi życia, następstwa, dobre czy złe, ujawniają się natychmiast w postaci mniejszej lub większej klęski powszechnej.

Tym razem p. Lubowski pokazał nam, jak te ustawiczne zapasy wyglądają w świecie przemysłowym. Liwski pragnie zbogacić kraj przedsięwzięciami na wielką skalę, buduje koleje i fabryki, zakłada kopalnie, zatrudnia jaknajwięcej rąk, rwących się do pracy, oczyszcza ważniejsze instytucye prywaty, przedajności i nieudolności, uosobionej np. w hr. Karolu, jego krewniaku Kręckim i innych tym podobnych tworach. Rozumie się, że wdzięczność nie dała na siebie czekać i niebawem wypędzone darmozyady przy pomocy falangi pieczeniarzów i rozmaitych salonowych błaznów oplatają obłudnie czczonego wroga gęstą siecią potwarzy, podkopują jego kredyt finansowy i moralny, pozbawiają poparcia, na które liczył, zrażają pomocników, których już dla szerokich swych planów był pozyskał, i rychło popychają nad brzeg przepaści, a co najgorsza—wydzierają mu, wprawdzie nie na długo, jedyną wśród burz, trosk i zawodów pociechę— miłość i szacunek ubóstwianej kobiety, panny Natalii Murskiej. Doprowadzony do ostateczności, sprzymierza się z kapitalistą Holfeindem, człowiekiem odmiennego pochodzenia, praktycznym, wytrwałym i umiejącym cenić ludzi takich, jak Liwski—tym samym, którego jednak poprzednio wraz z propozycyami spółki brutalnie odepchnął w imię nienawiści dla przybłędów, rozproszonych po całym świecie.

Otóż dwa te momenty stosunku do przedstawiciela obcego żywiołu, zawierają cały szereg zagadek dla psychologa, tak trudnych do rozwiązania i tak zawodzących nadzieje ujrzenia prawdziwego szermierza wyższych zasad, że niepodobna nazwać ich inaczej, jak tylko ciężkiemi uchybieniami konsekwencyi i zdrowemu rozsądkowi socyologa.

Nie zgadzają się one przedewszystkiem z sobą. Liwski tak energicznie i, dodajmy, tak patetycznie odrzucił projekt Holfeinda, tak silnem „nigdy" odtrącił podaną mu życzliwie i niemal bezinteresownie dłoń, że prędzej spodziewać się można było braterstwa ognia z wodą, niż sojuszu jego z nienawistnym apostołem „karności." Nagłego sprzeniewierzenia się tak głośno otrębywanym hasłom nie usprawiedliwia bynajmniej chęć uratowania powierzonych Liwskiemu obcych pieniędzy. Bankructwo, spowodowane kaprysem losu, mniej by chyba obrażało dumę jego, niż picie wody ze studni, w którą wczoraj pluł. To jedno. Powtóre jeżeli grzechem naszym społecznym jest brak wzajemnej miłości, jeżeli ironiczne „my się kochamy" jest kwintesencyą utworu, to na jakiejże zasadzie można było obelgę rzucać w twarz człowiekowi, lubo odmiennego szczepu, ale z wielu względów godnemu uznania i wypowiadać jemu i jego braciom wieczną wojnę? Tym sposobem satyryk rozprzężenia staje się sam wymownym obrońcą separatyzmu, który posuwa aż do odmawiania pierwiastkowi napływowemu prawa obywatelstwa. Liwski jest wielkością wątpliwą nawet ze stanowiska przesądów plemiennych.

Jako działacz okresu przemysłowego, jest on... nieprawdopodobnym. Autor pod wpływem przeholowanego idealizmu pragnął połączyć najszlachetniejszą w świecie naturę z wydatną inteligencyą, a tymczasem z pierwszej zrobił czułostkową filantropię, z drugiej zaś niesłychaną łatwowierność i krótkowidztwo. Na tamto możnaby się jeszcze zgodzić, bo od czegóżby p. L. robił Liwskiego „szlachcicem wierzącym w Boga," ale jakim sposobem chlebodawca mógł trzymać w usługach swych złodzieja-prokurenta, o którego sprawkach wiedział, i wydalać go dopiero po przebraniu miary — na to umysłowa wyjątkowość, lub jeśli kto chce, wyjątkowa umysłowość Liwskiego nie daje dorzecznej odpowiedzi.

Nie mamy jednak prawa czynienia z powyższych osobliwości zarzutu poważnego. Rozmaicie można pojmować ideały i bohaterów. Odmalowanie trzeciej strony charakteru Liwskiego, jego energii, pracowitości i wytrwałości — nastręczało niemałe szkopuły. Nie mógł autor przenieść na scenę przedsiębierczych wysiłków i codziennych mozołów, musiał pozostawić innym osobom obrazu napomykanie o cierniach, pokrywających drogę bohatera. Charakterystykę więc uzupełniają własne jego skargi i narzekania; powtarzają się jednak tak często, bo przy każdem zbliżeniu się do narzeczonej i w każdej rozmowie z przyjaciółmi, że znakomicie osłabiają wrażenie męzkiej dzielności. Jak wiadomo, ludzie czynu i inicyatywy nie lubią rozżalać się kilka razy na dzień.

Reszta figur, z których jedne służą intrydze, inne przeciw niej występują, lub wreszcie uprzytomniają chorągiewki towarzyskie, czułe na zmianę kierunku wiatru, odznacza się barwnością i urozmaiceniem. Natalia jest dobrym typem rozumnej i poważnie myślącej panny i mile odbija od uprzywilejowanego w naszej komedyi rodzaju naiwnych, płochych, figlarnych, dowcipkujących. Ojciec jej wraz z kilkoma jeszcze przyjaciołmi Liwskiego tworzy grupę szablonową, ale nieuniknioną. Wszakże z pośród nich wyróżnić należy Fitulskiego, gdyż takich jak on zręcznych a prawych szyderców, przytem „wesołych pasażerów" — spotyka się rzadziej. Doskonałym jest Wyżełkowski, pieczeniarz, fatygant, zbieracz nowinek „z pierwszej ręki," echo głosu rozsądniejszych. Celuje wybornym realizmem Skrzecz, mizantrop, śledziennik, wpadający w zachwyt nad nienawidzonymi ludźmi, ile razy mu imponują czemkolwiek. Postać to bardzo luźno przyczepiona do osnowy sztuki, niemniej przeto nader udatna — aż do czwartego aktu, w którym znać wyczerpanie się pomysłowości autorskiej, łatane powtarzaniem jednakowych efektów humorystycznych. To samo stosuje się do jego małżonki oraz Kotaszewskiego. Oboje z początku zajmują, ona bezwstydnem narzucaniem się i szturmowaniem do... serca jego, on odżegnywaniem się; ale w następstwie zaczynają trącić farsą i zdziwić musi każdego, że napastująca nie zraża się okazywanym jej wstrętem, a napadnięty, wogóle nielubiący ceremonij, z nią bawi się w ceremonie aż do ostatecznego znudzenia widzów.

Nad postaciami niewieściemi zbyteczna długo rozwodzić się. Żadna, ani hrabina Karolina, kierująca sprzysiężeniem, ani Blinecka, intrygantka najzabieglejsza, szukająca zemsty na Liwskim, za to, iż przestał darzyć ją względami miłostkowymi, ani wreszcie młodziutka panna Morawicz, która mimowolnie podsłuchała postanowienia spisku — niczem szczególnem nie uderzają.

Tak liczny personel, oraz motyw walki dwóch stronnictw, sam przez się interesujący, składają się na duże ożywienie komedyi. Atoli punkt ciężkości niewłaściwie przesunięty został do starcia dramatyczne-

go pomiędzy Liwskim a Natalią, nawiasem mówiąc, bardzo ponętnie wysnutego i wolnego zupełnie od naciągań. Zostawiwszy rozwiązanie bolesnego zajścia przyszłości, (przy której widz już obecnym nie jest), a narzeczoną chorą w łóżku — autor zanadto osłabił przyciągającą siłę tendencyi, a spotęgował nadmiernie zajęcie się sprawami serc zranionych. Z tem wszystkiem publiczność, zdolna do poważniejszego myślenia, ze skupieniem ducha śledzi przebieg akcyi. Nawet po wzięciu w rachubę wad i usterek, wypadnie z politowaniem nad nami głową pokiwać, jeśli ziszczą się wróżby prędkiego złożenia komedyi do biblioteki teatralnej. Byłoby to nowym dowodem, że próby poruszenia zagadnień ważnych w utworach scenicznych jeszcze przerastają nasze upodobania.

Gra artystów zasługuje na uznanie. P. Leszczyński, o ile mógł nadążyć za suflerem, mężnie wywiązywał się z roli Liwskiego. Tylko zarzuciłbym mu pewną trywialność tonu, zwłaszcza w rozmowie ostatniej z Natalią; p. Marcello tym razem była na swojem miejscu i z wdziękiem naturalnym oraz wyrazistością odtworzyła postać Natalii, której niezawodnie Messalina powodzenia tego zazdrości. Pani Lüde (Blinecka) jak zwykle dystyngowana, pp. Prażmowski (Fitulski), Szymanowski (Kotaszewski), Wolski (Wyżelkowski) i Sikorski, zwłaszcza Sikorski, miewający nader szczęśliwe chwile, i Grubiński, warci oklasku. Pp. Ładnowski, Ostrowski i Rapacki niewiele mogli ze swych mało wyrazistych ról wykrzesać. P. Nowicki dykcyą żywo przypominał nagrodzistę-ucznia, recytującego lekcye, a zaniedbaną postawą — Gasparona.

J.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Na najlepszym ze światów. — Zima i lato. — Prawo samotności. — Orkan giełdowy. — Nasze straty. — Oswojenie się z epoką. — Uchwała Towarzystwa przemysłu i handlu. — Przekład niemieckich praw wyjątkowych na język polski. — Ta sama bajka ze zmienionemi nazwiskami. — Co mówią o niej etyka, logika i socyologia. — Nasze wymagania. — Obraz dla operetki. — Dr Mikulicz powołany do Królewca. — Jedyny obcy polak przytulony do piersi pruskiej. — Ostrzeżenie dla galicyan.

Gdyby Leibnitz zmartwychwstał i otworzył szkołę swej filozofii, niewielu by zapewne znalazł dziś słuchaczów, a jeszcze mniej wyznawców. Bo wmówić w kogokolwiek, że świat istniejący jest najlepszym z możliwych, byłoby teraz bardzo trudno. Ludzie skarżą się grupami: w jednej porze narzekają ziemianie, w innej kupcy, fabrykanci, giełdziarze, literaci itd. W obecnej krzyczą lub stękają chórem wszyscy, a co ważniejsze — wszędzie. Niedawno wpadło mi w ręce sprawozdanie komisyi angielskiej, wyznaczonej do zbadania zastoju w przemyśle i handlu. Przeczytałem je i przekonałem się, że po krainie bogactwa również włóczy się upiór niedoli. Zima czyni go jeszcze straszniejszym. Człowiek nigdy nie uświadamia sobie, jak dalece zmniejsza mu ciężary życia jasne i ciepłe łono natury, jej wiosenne i letnie barwy i wonie, jej mocne tętna. Gdy niebo oblecze swój błękit w mgły szare, gdy słońce przymruży swe blade, krótkowidzące oko, gdy ziemia skrzepnie w mrozie lub pomaże się błotem, gdy drzewa i krzewy ogołocone z liści staną jak szkielety na cmentarzu — wtedy ludzie czują, że dźwigają na swych ramionach góry nieszczęść. Są smutki, od których nigdzie uciec i nigdy zapomnieć nie można: ale są lżejsze, trwale do serca nie-przyrosłe, które dadzą się z niego bodaj na chwilę strząsnąć i zatopić w niepamięci. Zmęczony robotą przy warsztacie, pokąsany i poszczypany żądłami różnych wężów, które cię obwijają, rzucasz pracę, odrywasz żmije i chronisz się gdzieś w zacisze leśne, między zieleń i kwiaty, tam wypoczywasz, oddychasz swobodnie, jesteś sam z sobą — to jest używasz rozkoszy, która musi być wielką, skoro jej odmówiono najokrutniejszym zbrodniarzom i skoro oni w miejscach swej pokuty najbardziej za nią tęsknią. Ale co począć w zimie, w której przyroda jest dla człowieka złą macochą po dobrej matce? Co zrobić w tej porze, która nas pozbawia praw samotności? Opuśćcie miasto, wyjdźcie na pole i do lasu, spojrzcie na niebo, zmarzłą wilgocią cieknące, na ziemię w błocie zgniłą — uczujecie gwałtowną chęć powrotu do kąta mieszkalnego, gdzie was czeka cały rój os złośliwych, much brzęczących jednostajnie, komarów ssących krew, szczypawek dokuczliwych — słowem, wiadomości zblizka i zdaleka przylatujących, prywatnych i publicznych, cichych i głośnych.

Człowiek uczuciowy i myślący, z gazetą w ręku, w ponurem oświetleniu niechlujnej zimy tegorocznej, jest jednym z najsmutniejszych obrazów, jakie malarz lub powieściopisarz społeczny namalować dziś może. Co doniesienie — to klęska. W ostatnich dniach przeleciał po Europie straszliwy orkan giełdowy, który sprawił nieobliczone spustoszenia. W przerwach między grzmotami słychać było ciągle huk walących się i trzask zdruzgotanych piorunem dębów finansowych lub odgłosy strzałów rewolwerowych, którymi zrujnowani spekulanci przecinali pasmo zbytkowego dotąd żywota. Wiadomo, czyje to płuca dmuchały wiatrem w tę burzę, która i po naszym kraju przeciągnęła. Naturalnie, ile zapłaciliśmy za komedyę strachów niemieckich, za to, żeby wybory wypadły według życzenia ks. Bismarka — nikt nie obliczy, ale każdy winien pocieszyć się myślą, że jeśli Ojciec św. służy kanclerzowi jak chudy proboszcz kolatorowi, to cóż dopiero mówić o takich, jak my, mizerakach. W każdym razie ów uragan giełdowy, który dla kaprysu i samowoli jednego człowieka naraził całą Europę na miliardowe straty, jest charakterystycznem zjawiskiem naszych czasów. Nie my, przytępieni we wrażliwości, możemy być sprawiedliwymi tych win sędziami, ale te pokolenia, które dalsza przyszłość urodzi, które nie będą miały tak znieczulonego sumienia, tak wykręconego rozumu, tak potarganych uczuć, czytając karty dziejów tej epoki, ocenią ją należycie. Ludzie tegocześni są jak robotnicy w mydlarniach i papierniach — oswoili się z cuchnącą i zabójczą wonią, a od świeżego powietrza doznają zawrotu głowy.

Wskazywałem kilkakrotnie, że ogólna zaraza i nas dotknęła. Świeży jej objaw przedstawiły obrady w Towarzystwie przemysłu i handlu nad dopuszczeniem żydów do cechów. Starły się tam dwa stronnictwa—zwyciężyło antisemickie. Proszę wyobrazić sobie, że walka toczyła się nie w Warszawie, ale w Poznaniu, zamiast polaków podstawmy niemców, a zamiast żydów — polaków i wtedy na szalach moralności zważmy rezultat: 15 głosami przeciw 9 postanowiono utrzymać ograniczenia i zachować prawa wyjątkowe. Naturalnie przywiązalibyśmy to barbarzyństwo, ten gwałt do wielkiego dzwonu i bili weń z całych sił. Ale gdy chodzi o żydów i Warszawę, krew zgrozy odpływa nam od głowy, reguła sprawiedliwości otwiera furtkę wyjątkowi, etyka społeczna wyciąga inne szale. Czemu? Bo „żydkowie zawładną sterem spraw rzemieślniczych, trzeba więc czekać, aż się uspołecznią.“ Czytając w sprawozdaniach te wywody, zdawało mi się, że czytam mowy konserwatystów i narodowo-liberałów niemieckich, wykazujących konieczność ograniczenia praw polaków. Ta sama obawa przewagi żywiołu niemieckiego, to samo żądanie „uspołecznienia się,“ ta sama nawet czasowość więzów — słowem, *mutato nomina de te fabula narratur*. Tu oportunizm, tam oportunizm, tu względy praktyczne, interesy ogółu, odbierające głos doktrynerstwu, tam również. P. Juszczyk — to p. Wehr z parlamentu niemieckiego, p. Bardzki, to p. Richter. I publiczność oklaskuje taką samą uchwałę swych przedstawicieli w Warszawie, jak w Berlinie. Brak tylko dla zupełności podobieństwa, ażeby prasa żydowska w Niemczech tak oburzyła się na drakonizm naszego Towarzystwa handlu i przemysłu, jak my na drakonizm sejmu pruskiego.

Naciągnięto sofizmatami skórę moralności na pożądane kopyto tam, naciągniemy ją tu; od czegóż „względy praktyczne,“ „interesy ogółu“ itd. Ale chociażby buty z takiej skóry były najstaranniej odszyte i wyczyszczone, żadna sztuka szewcko-socyologiczna nie załata w nich dziury, przez którą zacieknie ta prawda, że kto gwałci swobodę cudzą, traci prawo do własnej, że kto uciska nietolerancyą innych, musi ją uznać dla siebie. Jeżeli Towarzystwo popierania przemysłu i handlu może ograniczać żydów w cechach rzemieślniczych, to rząd pruski może ograniczać polaków we wszystkich instytucyach państwowych, bo w obu wypadkach dotknięci zakazem są uważani za żywioł niebezpieczny, szkodliwy i niezasymilowany, w obu oskarżony o zgubne dążenia, odrębność i nieprzyjaźń dla ludności panującej. Są to dwa trójkąty zupełnie sobie równe każdym kątem fanatyzmu, każdym bokiem nierozumu.

A teraz rozpatrzmy praktyczność takich uchwał. „Dla dobra ogółu“ pragniemy, ażeby wysokie cła uwolniły nas od wszelkiego współzawodnictwa zewnątrz, a prawa wyjątkowe od wszelkiej konkurencyi wewnątrz. Obiecujemy sobie zwycięztwo w walce o byt wtedy, kiedy ani francuz, ani anglik, niemiec, włoch, żyd surowy, żyd ucywilizowany, cygan, tatar — słowem nikt nam w drogę nie wejdzie. Czy można swoim uzdolnieniom wystawić straszniejsze świadectwo ubóstwa i czy jest na świecie naród tak uprzywilejowany, ażeby nie musiał współzawodniczyć z innymi? Wreszcie — gdyby siła nadprzyrodzona zapewniła taki ogrodzony i obwarowany raj swemu „oblubieńcowi“ — czy on by wkrótce nie zmarniał w życiu, pozbawionem bodźców do starań i rozwoju?

Sprawa ta posiada jeszcze jedną instancyę, przez którą przejść winna. Wymagamy od żydów „uspołecznienia się,“ upodobnienia do ludności miejscowej, a ile razy oni wpadają do jakiegoś tygla, gdzieby z zawartą w nim masą stopić się mogli, tyle razy ich wyrzucamy jak nieczystą domieszkę, jak robactwo. I znowu chcielibyśmy, ażeby oni „upodobnili się“ do nas i po za nami, w swojej sferze, własną mocą i wolą; i znowu zapytać trzeba, gdzie postawiono tak niedorzeczne wymaganie i gdzie ono spełnionem zostało? To już nie socyologia, ale kapryśny bezsens, który powinien zasłonić swe oblicze, ażeby go oczy ludzi przytomnych nie widziały.

Mur, odgraniczający żydów od społeczeństwa, wznieśli oni sami; ale rów około tej twierdzy wykopaliśmy my i kopiemy go ciągle, zarówno w Białymstoku, zamykając przed żydami wrota zabawy publicznej, jak w Warszawie, przymykając drzwi stowarzyszeń rzemieślniczych.

Wspomniano podczas obrad o „wyznaniu i tradycyi“ cechów. Dopóki one były związkami, posiadającemi odcień religijny, miały najsłuszniejsze prawo zachowywać swą wyłączność; ale gdy stały się ekonomicznymi, gdy weszły pod kierownictwo instytucyi tak świeckiej, jak Towarzystwa przemysłu i handlu, owa „tradycya“ nie może być ich podstawą społeczną. Trudno o dziwaczniejszą parodyę rozsądku nad widok zgromadzenia, poważnie rozprawiającego

i głosującego, czy Stary zakon ma być równouprawniony z Nowym w... cechach. To obraz dla operetki, ale nie dla nauki gospodarstwa społecznego. Gdyby nam nie szło o prostowanie krzywych i czyszczenie pobrukanych fanatyzmem pojęć, tego rodzaju uchwały należałoby do oświetlenia odstępować pismom humorystycznym. Na poważny rozbiór one nie zasługują. Małpowanie logiki i etyki niemieckich Eynernów, Rauchhauptów, Enneccerusów i Tidemanów, w Warszawie, w chacie ubogiej, która dbać powinna o bratanie swych mieszkańców, a nie o waśnienie, jest tak gorszącem i zdrożnem, że trudno byłoby o bardziej szyderczą ilustracyę dla naszego życia w porze obecnej.

Dr Mikulicz, słynny operator i profesor uniwersytetu krakowskiego, powołany do Królewca, przyjął tam posadę. Jedni twierdzą, że uczynił to zniechęcony stałą odmową władz co do urządzenia mu kliniki chirurgicznej, inni, że uległ próżności. Katedra królewiecka nie jest profesorskim tronem, ale stopniem do tronu w Berlinie lub Lipsku. Nic też dziwnego, że człowiek, który ma prawo i siły wejść wysoko i który od lat niewielu mówi po polsku, zerwał słabą nić, wiążącą go z miejscem działalności dotychczasowej. W operacye d-ra Mikulicza wierzę, ale w jego patryotyzm tyle, ile w „miłość ojczyzny“ tych panów poznańskich, którzy ją kawałkami niemcom sprzedali dla „poprawy interesów.“ Oprócz gotowości przyjęcia katedry w szlachtuzie politycznym, mam jeszcze inną do takiego rysopisu cechę: jeżeli rząd pruski zrobił jedyny wyjątek z ustawy przeciw polakom dla d-ra Mikulicza, to widocznie nie uważa go za istotę tak szkodliwą, jak żydów.

Niezależnie od tych przypuszczeń, Galicya powinnaby zakarbować sobie ten fakt w pamięci dla zapisania go w notatniku posłów odjeżdżających do wiedeńskiej Rady Państwa. Niech urwą sobie chwilę czasu od polityki wielkiej i dla małej wytargują klinikę chirurgiczną przy uniwersytecie krakowskim. Brak ten mógł nie być jedyną pobudką usunięcia się d-ra Mikulicza, ale że działał nań zniechęcająco, to pewna. Na badacza i operatora tej miary i rozgłosu musiało wywrzeć wpływ to lekceważenie pola jego pracy, to skąpienie mu do niej środków i materyału.

Wyleciał więc znowu jeden ptak z gniazda i nigdy do niego nie wróci. Albo to ostatni? Ilu ich jeszcze w różne strony pofrunie. A nas cieszyć będzie „sława rodaków na obczyźnie!“ Skromne dzieci — zabawimy się czemkolwiek.

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Zjawiska współrzędne: filantropia, nędza, przestępstwa i wzrost depozytów. — Nasi żydzi. — Szpitale.

Filantropia i — kradzieże są na porządku dziennym w naszych prowincyonalnych miastach, miasteczkach i wioskach. W Radomiu bezpłatne herbaty dla biednych. W Lublinie, Piotrkowie, Kaliszu bezpłatne lub tanie obiady, nie mówiąc o zabawach z filantropijnym celem połączonych... A jednocześnie wzrost przestępstw przeciwko własności, rabunków, napadów na ulicach najbardziej uczęszczanych, morderstw, o których nieledwie codzień donoszą czasopisma. Zarówno jeden jak drugi objaw są świadectwem rosnącej z dniem każdym nędzy. Pieniądze trwożliwie kryją się we wszelakich kasach depozytowych, kapitaliści wolą poprzestać na małym, bardzo małym procencie, niżeli w ryzyka się wdawać. Prawda, że od czasu do czasu jaśniejszą nitką wyhaftuje się na tem tle wiadomość o jakiejś nowopowstającej fabryce krajowej. Lecz wobec teraźniejszych stosunków celnych, niskiego kursu rubla i coraz drażliwszych warunków istnienia przemysłu obcokrajowego, wzrost sił wytwórczych miejscowych powinienby daleko być żywszy i byłby takim, gdyby w poprzek nie stawały rozliczne przeszkody, poczynając od braku rutyny, kończąc na widokach politycznych ogólno-europejskich, przyćmionych wyziewami prochu.

Lublin ma nadzieję uporać się z naprzykrzoną nędzą, zakładając towarzystwo przeciwżebracze. Warszawa już podobno dla siebie opracowuje ustawę takiego towarzystwa. Jeżeli wszakże niełatwem jest zadanie dopomódz nędzy „sympatycznej,“ nędzy uczciwej, wynikającej z kalectwa, wieku, nieszczęśliwych przypadków losowych, to już na nędzę „niesympatyczną,“ zrodzoną z próżniactwa, złych nałogów, lekkomyślności, występków — towarzystwo przeciwżebracze z najmądrzejszą nawet ustawą bodaj czy znajdzie lekarstwo. A przecież i ta nędza jest rzeczywistą, zakorzenioną głęboko, u nas rozległą i wymaga niemniej gorliwego leczenia, choć zapewne z użyciem lekarstw odmiennych. Wszakże znakomity procent żebraków rekrutuje się z tej drugiej kategoryi.

Gdyby ci, czytelniku, z nienacka zadano pytanie, jaka też warstwa ludności krajowej jest najbogatszą, stawiłbym dwa przeciw jednemu, że odpowiedziałbyś — żydzi.

Tymczasem żydzi sami nie wahają się twierdzić, że nędza pośród chrześcian słabe zaledwie daje pojęcie o nędzy żydowskiej. Wymowną ilustracyę tego zapatrywania dały rezultaty spisu jednodniowego w Warszawie, dokonanego w 1881 r., opracowane obecnie w rozprawie p. t. „Graficzne obrazy stosunków ludności miasta Warszawy“ przez B. Danielewicza. Rozprawka rzeczona wychodzi częściami w *Zdrowiu* i zdobna jest uzmysławiającemi tablicami. Z dwunastu cyrkułów Warszawy z Pragą, żydzi najgęściej zasiedlają czwarty (Nalewki, część Gęsiej i Franciszkańskiej), gdyż stanowią 87⅛% zaludnienia tej dzielnicy. Następnie około 45% mieszka w cyrkułach V/VI (Gęsia, Dzielna, Nowolipie, Leszno) i tyleż w XII (przedm. Praga). Najmniej ludności tego wyznania spotykamy w częściach miasta przyległych Wiśle, w okolicach Krakowskiego Przedmieścia i Nowego Świata (cyrk I/IX, X, XI). Otóż tablica unaoczniająca podział miasta pod względem zamożności wykazuje, że najuboższymi cyrkułami są IV, V/VI, XII najgęściej zaludnione przez żydów, a z mniej zamieszkałych VII; najbogatszemi natomiast są cyrkuły I/IX, X, oraz II/III. Prawda, że podstawa podziału niedość jest pewna, gdyż oparta on się na ilości ludzi w jednej izbie mieszkających. Wszakże niepodobna całkowicie odmawiać znaczenia wnioskom o zamożności, wysnutym z takich danych, jak wygodne mieszkania. Najwięcej dzieci znajdujemy znowu w cyrkułach IV i XII, najmniej w I/IX i X. Najmniej oświecone są cyrkuły IV, V/VI i XII, najoświeceńsze I/XI i X. Najmniej ludzi dochodzi późnej starości także między żydami. Słowem statystyka poucza, że w Warszawie najopłakańsze z wielu względów stosunki napotykają się u żydów. Czy podobnie rzeczy stoją w kraju całym? Nie brak powodów do mniemania, że jest nieinaczej. Przerażająca ciemnota i nędza żydów, są to zjawiska nienowe, choć niedość podobno uwzględniane przez naszych socyologów, którzy radzi obwiniać potomków Izraela o najczarniejszą niewdzięczność względem ziemi płynącej dla nich mlekiem i miodem.

W tem samem piśmie znajdujemy początek sprawozdania o działalności zakładów dobroczynnych w Królestwie w r. 1884, ułożonego na podstawie danych urzędowych. Z wyliczenia szpitali w dziesięciu guberniach (z pominięciem Warszawy) przekonywamy się, że najwięcej, bo 12 zakładów tego rodzaju posiada gubernia lubelska, najmniej łomżyńska (4). Śmiertelności żadnej nie wykazują letnie szpitale w Ciechocinku, Busku i Solcu. W innych szpitalach odsetki śmiertelności chwieją się od 1.4 w Płocku aż do 17.5 w Łęczycy. Ogółem w r. 1884 było w kraju, oprócz Warszawy 70 szpitali, w których leczyło się około 25,500 osób. Jeżeli weźmiemy pod uwagę, że w gubernii lubelskiej jest jeszcze za mało szpitali (projektowane są dwa lub trzy nowe), to cóż mówić o innych. Temu brakowi w znacznej mierze przypisać można niedostateczne dotychczas oswojenie się ludu z pomocą umiejętną, lekarską, zaufanie dotąd niesłabnące do znachorów i zamawiaczek, a w dalszym ciągu i takie fakty, jak porzucanie przez lekarzy wykwalifikowanych zawodu nie dającego im chleba. Świeżo pisma doniosły o medyku, który wyjechał daleko, na wschód, pełnić obowiązki guwernera. Tu w kraju nie miał kogo leczyć. Szczęśliwy, zdrowy naród, ma już za dużo lekarzy.

K. Zbrucki.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Wymowne. Według *Czasu* pewien „właściciel większego obszaru ziemskiego w powiecie poznańskim“— polak — nie pozwolił swemu rządcy przyjąć urzędu honorowego, ażeby „agitacya wyborcza nie odrywała go od zajęć gospodarczych.“ Po co tu komisye germanizacyjne!

Kraśnik ma być połączony z Lublinem linią telegraficzną. Na koszta urządzenia komunikacyi mieszkańcy tego miasteczka i zarząd cukrowni Zakrzówek zobowiązali się zapłacić zasiłek trzyletni w ilości 766 rs. 27 kop.

Z funduszów użyteczności publicznej na urządzenie filtrów wodociągowych w Warszawie będzie wypłacona suma 158,108 rs. do zwrotu z funduszów miejskich w ciągu lat 5 w równych ratach z doliczeniem 4%.

Towarzystwo zachęty sztuk pięknych zamierza wybudować sobie gmach przy ul. Królewskiej i placu Ewangelickim, na skwerze. Magistrat, z uwagi na przyozdobienie miasta nową, piękną budowlą, postanowił wyjednać u władzy pozwolenie odstąpienia Towarzystwu używalności potrzebnego kawałka gruntu na czas nieograniczony.

P. Feliks Rycerski, inżenier, przygotował dwa plany typowego budynku ochrony miejskiej i przedstawił je komitetowi pedagogiczno-hygienicznemu wystawy hygienicznej, zamyślając wznieść według jednego z tych planów pawilon na placu wystawy, ku czemu zyskał pomoc ludzi dobrej woli.

Do zakładania winnic w okolicach Kazimierza i Józefowa zachęca p. Jankowski w *Ogrodniku polskim*, wzmiankując, że *Rhein Courrier* nawołuje niemców do pochwycenia w swe ręce tej zaniedbanej gałęzi przemysłu w Królestwie, jako rokującej we wspomnianych miejscowościach bardzo dobre nadzieje.

Konkurs na wynalezienie nowej gry i na powiastkę dla dzieci ogłasza p. Leopold Szyller Racki w *Przeglądzie technicznym*. Nagroda za projekt gry z rysunkami dobrze wykonanemi — 100 rs., bez rysunków 60 rs., nagroda za powiastkę, zawierającą około 2,000 wierszy również 100 rs.

Dziesięć odczytów na dochód warszawskiego Towarzystwa dobroczynności wygłoszą pp.: Henryk Sienkiewicz „Wspomnienia z Aten,“ prof. Gustaw Roszkowski „O sądach polubownych w sprawach międzynarodowych,“ Alfons Parczewski „O początku ruchu umysłowego w Czechach,“ Kazimierz Waliszewski „Powieść społeczna we Francyi,“ Józef Boguski „O jedności materyi,“ dr Krot (trzy odczyty) „Z dziedziny psychologii.

P. Władysław Taczanowski, ornitolog, otrzymał od Akademii nauk w Petersburgu premium Brandta za dzieło trzytomowe p. t. „Ornitologie de Perou,“ napisane na podstawie dwudziestoletnich badań, do których materyału dostarczyły między innemi okazy, nadesłane przez K. Jelskiego i J. Sztolcmana, a nadto

muzea w Paryżu i Londynie, zwiedzone w tym celu przez autora.

Bal rzemieślniczy z celem filantropijnym bywa urządzany corocznie w Radomiu. Podług słów jednego z majstrów tamecznych, „pracujący w warsztatach od czasu tych zebrań stronią od szynków i bawaryj i oszczędzają grosz na sprawienie czarnego tużurka lub żakieta, pragnąc być w resursie.“ Dotąd był zwyczaj, że do poloneza, otwierającego bal, najstarsi rzemieślnicy zapraszali damy „z lepszego towarzystwa,“ nawzajem panowie dystyngowani zapraszali rzemieślniczki. W bieżącym roku, jak donosi *Gazeta radomska*, „damy“ uważały za stosowne odmówić tańca rzemieślnikom i głośno podczas balu wypowiadać uwagi i żarty o tańczących, skutkiem czego wiele rzemieślniczek postanowiło zaniechać uczestniczenia w podobnych zebraniach. Ślicznie się zabawiły radomianki i przekonały dowodnie, iż do „lepszego“ towarzystwa należą.

Bal w Ratuszu na korzyść komitetu pomocy dymisyonowanym wojskowym i ich rodzinom, dany 17 (29) grudnia r. z., przyniósł czystego dochodu 12,026 rs. 44 kop.

Monopol sprzedaży kart do gry daje petersburskiemu Domowi wychowawczemu dochód od 1,000,000 do 1.200,000 rs. rocznie. Obecnie trzej kapitaliści petersburscy pragną wydzierżawić ten monopol za półtora miliona rs.

W Kaliszu zdarzyły się wypadki choroby trychinowej. Z tej przyczyny poddano mięso wieprzowe, sprzedawane konsumentom, badaniu mikroskopowemu.

Sąd okręgowy w Radomiu rozstrzygał w tych dniach sprawę o spalenie żywcem Moszka Wolanowskiego przez mieszkańców miasta Przysuchy, którym wskazano nieszczęśliwego jako podpalacza. Przestępstwa dopuściły się tłumy; aresztowano tylko najwinniejszych, bezpośrednich sprawców czynu. Podług zeznań świadków, Wolanowski był bardzo zdolnym zegarmistrzem, wykazującym jednak podczas upałów lekkie zboczenie umysłowe, a przytem więcej przychylał się do chrystyanizmu, aniżeli do mozaizmu, skutkiem czego ściągnął na siebie nienawiść współwyznawców.

Odnalezienia grobów królowej Jadwigi i kardynała Oleśnickiego na Wawelu dokonał komitet restauracyi katedry wawelskiej, prowadząc poszukiwania według opisu znajdującego się u Długosza. Znalezione insygnia i głowę królowej odrysował Matejko, czaszki obie rozmierzył dr Kopernicki, poczem wydobyte przedmioty napowrót złożono do trumien i groby zamurowano.

Sprzedaż dóbr. P. Jan Czapski sprzedał upoważnionemu przez rząd do tego kupna landratowi brodnickiemu dobra Bobrowę za 600,000 mrk., a dobra Niecierz, w Prusach zachodnich, należące do p. Wybickiej, wystawione na sprzedaż przymusową, zakupiła komisya kolonizacyjna za 269,500 mrk. Tym sposobem w jednym tygodniu przeszło do prusaków 5.600 morgów ziemi polskiej.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. L. Prz. w Mławie. Dzieło Morgana drukuje się i wyjdzie w miesiącu przyszłym. Obfitość szczegółów naukowych, wymagających starannej korekty, nie pozwala na zbytni pośpiech.

P. J. Sz. w Warszawie. Tylko autor może rozporządzać swoim utworem po za kolumnami *Prawdy*. Propozycya pańska jednak jest bardzo nieokreślona.

W. N. Tytuł pracy Kubarego *Die socialen Einrichtungen der Palauer*.

P. A. Ros. w Rydze. Istnieje, a stosowanym być może nietylko do miejsc, ale i do ludzi. „Miły“ jest wyrazem pokrewnym, lecz nie jednoznacznym. Niemieckie „gemütlich“ jeszcze dalsze, a tłomaczy się przez: „przyjemny.“ „dobrotliwy.“

P. Ant. Sap. Jedno jest poświęcone przeważnie hodowli, a drugie rolnictwu. Wobec tego trudno rozstrzygnąć. które „lepsze.“

Mil. Pr. Słusznie dostrzegły Panie sprzeczność, którą autor już sprostował w numerze poprzednim. Jeden zmieniony wyraz sprowadził zamęt. Zamiast „bardzo celowym i pożytecznym,“ winno być „mało celowym i pożytecznym.“

Ogłoszenia.

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Prenumeratorzy „PRAWDY“ otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 30 Января 1887 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.